

Dziś w numerze: L. WŁODKOWSKI *Anatomia dywersji* ● J. KOPROWSKI *Listy z Austrii*
 K. FREJDLICH *Janusowe oblicze „Osnowy”* ● R. BINKOWSKI *Gauęda o kradzionym czasie*
 ● *Co dalej po czterdziestce?* ● *W polskim Caen* ● *Zewsząd o wszystkim*

odgłosy



43 (623)
 26. X. 1969 r.
 Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

JAN WASZCZYŃSKI

Amnestia 1969

Ukazywanie się ustawy amnestyjnej wywołuje zawsze wśród społeczeństwa żywy odgłos. Jest to bowiem fakt o dużej politycznej i społecznej doniosłości, oznaczający zasadniczą zmianę losu tysięcy osób, których drogi życiowe skrzyżowały się z przepisami prawa karnego. Będąc dobrodziejstwem dla skazanych oraz dla tych, którzy po popełnieniu przestępstwa, jeszcze nie wykrytego, żyli w długotrwałej nieraz, a zawsze dręczącej niepewności, amnestia wywołuje jednocześnie zapytania sięgające samej istoty wymiaru sprawiedliwości oraz wartości wysiłków organów ścigania skierowanych — w imię ochrony społeczeństwa — ku wykryciu, osądzeniu i ukaraniu przestępcy.

Jako jednorazowy akt polityczny amnestia pozornie sprzeciwia się bowiem ogólnym dyrektywom prawa karnego nakazującym, by przestępca nie uszedł karze, by był należycie osądzony i przez odbycie kary przywrócony społeczeństwu, zrehabilitowany. Tym niemniej byłoby błędem sądzić, że amnestia stoi w antagonyzycznej, nieprzezwycięzalnej sprzeczności z celami wymiaru sprawiedliwości. Doświadczenia stuleci wskazują, że amnestia stanowi konieczne uzupełnienie praktyki sądowej, i że stosowana była i jest szeroko w wielu krajach europejskich, niezależnie od ich społecznego i politycznego ustroju. Zarówno w krajach kapitalistycznych, jak i socjalistycznych amnestia stała się nieodłącznym elementem wymiaru sprawiedliwości, aczkolwiek często jej geneza w państwach eksploatatorskich oraz w państwach budujących swój byt na zasadach społecznej sprawiedliwości jest zupełnie odmienna.

W krajach kapitalistycznych — jak to wyraził określił wybitny prawnik niemiecki R. Ihering — amnestia spełnia przede wszystkim rolę wentyla bezpieczeństwa prawa, łagodząc skutki surowości burżuazyjnego prawa, bezlitosnego w szczególności w obliczu wydarzeń dzielących się na wzmożonych falach ruchów społecznych i w okresach rewolucyjnych napięć. Amnestie rozładują wówczas wyrządzone krzywdy oraz rewolucyjne nastroje społeczeństwa. Taką właśnie rolę spełniały np. we Francji amnestie z lat 1871 i 1879 obejmujące uczestników walk Komuny Paryskiej. W krajach socjalistycznych amnestie stały się również szeroko stosowanym zabiegiem prawnopolitycznym. W Związku Radzieckim w latach 1923—1957 wydano 21 ogólnozwią-

Dalszy ciąg na str. 4



Fot. L. Janczak

KAROL BADZIAK

List gończy

Proszę dokładnie przyrzeć się zdjęciu na str. 4. Publikowane jest w prasie po raz pierwszy; niedawno bowiem zostało odnalezione. Przedstawia załogę o-prawców z Radogoszcza. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi prowadzi śledztwo w sprawie ich zbrodniczej działalności. Większość z nich prawdopodobnie żyje, znalazła zapewne schronienie w NRF, nieznane są wszakże ich nazwiska. Ktokolwiek ich widział, zna i rozpozna na zdjęciu, proszony jest o zgłoszenie się do Komisji w celu podania bliższych szczegółów. Adres: Pl. Dąbrowskiego 5, pokój 113.

Polskie organa ścigania ciągle prowadzą dochodzenie, zbierają

wszystkie dane o hitlerowskich zbrodniach na ziemiach polskich w latach okupacji. Pełna inwentaryzacja zbrodni masowych i jednostkowych jest naszym historycznym obowiązkiem wobec tych, których zamęczono, wobec całego świata, wobec potomności. Sumienie nasze nie może być spokojne dotąd, dopóki ostatni hitlerowski morderca nie zostanie ujawniony i ukarany.

Mineło 25 lat od zakończenia wojny, a pełna ewidencja wszystkich zbrodni i wszystkich zbrodniarzy nie została jeszcze zamknięta. Nie z powodu ope- szności, po prostu ilość i ogrom tych bestialstw były tak wielkie, że ów- wieki nie starczyło, aby je wszyst- kie ujawnić i zarejestrować. Dowia-

dujemy się ciągle o nowych zbro- dniczych poczynaniach z tamtego okresu. Wielkie, masowe zbrodnie wojenne znane są wszystkim. Od- kryte, opisane, trwają w historii narodu. W ostatnich latach tropione są zbrodnie mniejszego kalibru w sensie ilościowym ponieważ stop- niem okrucieństwa przewyższały niejednokrotnie masowe katownie. Ale czy istnieją zbrodnie mniej ważne i bardziej ważne?

Powołany dwa lata temu zespół dochodzeniowo-śledczy przy Okrę- gowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich wszczął ponad 600 śledztw, m. in. ponownie w sprawie ponurej zbrodni w Radogoszczu, w Zgierzu, Olechowie, w obozach prze- siedleńczych, w obozach dziecic-

ych oraz w szeregu pojedynczych aktów bezprawia, terroru, represji, grabieży, pacyfikacji i egzekucji. Czarna encyklopedia zbrodni bez przerwy wzbogaca się o nowe szczegóły.

Na podstawie informacji z karto- teki zdarzeń wszczęto ostatnio śledztwo w sprawie powieszenia pięciu robotników z zakładu „Pro- motor” w Łodzi, 20 czerwca 1942 roku. W toku śledztwa stwierdzono, że kierownikiem warsztatów zorga- nizowanych przez Niemców w tych zakładach na początku 1940 roku był Niemiec nazwiskiem Bendus, zaś dyrektorem przedsiębiorstwa

Dalszy ciąg na str. 4



Tym razem nie wydarzenie polityczne, lecz naukowo-techniczne wysunęło się na plan pierwszy. Mam na myśli grupowy lot kosmonautów radzieckich w statkach „Sojuz” 6, 7 i 8 i pierwszą w dziejach tych lotów próbę spawania metali w warunkach próżni. Kosmonauci — jak można zorientować się z komunikatów — wykonali ogromny program badań naukowo-technicznych i medycyko-biologicznych. Uważny czytelnik dostrzeże z pewnością, iż znacznie więcej niż kiedykolwiek manipulowano statkami w kosmicznej przestrzeni i że próby te zakończyły się powodzeniem. Są to ważne elementy przygotowań do tworzenia stacji orbitalnych, który to kierunek badań konsekwentnie prowadzony jest w ZSRR.

Powiedziałem powyżej, że loty statków „Sojuz” są ważnym wydarzeniem naukowo-technicznym. Ale nie tylko. Wystarczyło obserwować komentarze prasy zachodniej, a zwłaszcza amerykańskiej, aby łatwo wysnuć wniosek, iż nowe osiągnięcie radzieckiej myśli naukowej ma swój aspekt polityczny. Dlatego też odnotowujemy je w rubryce, poświęconej polityce międzynarodowej, raz jeszcze podkreślając: eksperyment radziecki otworzył drogę do budowania na orbicie stacji. I to o dowolnym ciężarze i objętości.

Po tych kilku uwagach przeniesmy się do Stanów Zjednoczonych. Odbłyły się tam właśnie największe antywojenne demonstracje w historii amerykańskiej. Setki tysięcy Amerykanów protestowało 15 bm. — w „Dniu moratorium” — przeciwko wojnie w Wietnamie. Cechą wyróżniającą tegoroczny protest od ubiegłorocznego jest jednak nie tylko masowość demonstracji, ale także ich społeczny zasięg. Po raz pierwszy wzięli w nich udział liczni przedstawiciele starszego pokolenia, a w tej liczbie i wielu działaczy politycznych o znanych nazwiskach: członkowie Kongresu, przywódcy partii itp.

Edward KENNEDY zaproponował, aby USA ogłosiły publicznie, iż w roku przyszłym wycofają z Wietnamu pld. wszystkie lądowe oddziały liniowe, a do końca 1970 roku — wszystkie jednostki lotnicze i pomocnicze.

George MCGOVERN zachęcał do wywierania wszelkiego możliwego nacisku na administrację, aby już obecnie wycofała wojska USA z Wietnamu.

Arthur GOLDBERG przedłożył 3-punktowy plan zakończenia wojny, przewidujący w pierwszej kolejności przerwanie przez amerykańskie siły zbrojne wszelkich działań ofensywnych, a w drugiej zakładający ich wycofanie.

Dlaczego tegoroczny protest przybrał tak duże rozmiary?

Złożyły się na to dwie przyczyny: niezrealizowanie przez Nixona jego obietnic przedwyborczych i brak jakiegokolwiek postępu militarne USA w Wietnamie przy równoczesnym wzroście liczby ofiar tej wojny — (do 40 tys. zabitych żołnierzy amerykańskich i 200 tys. rannych).

Z doświadczeń Nixona do władzy społeczeństwo amerykańskie wiazało nadzieje na rychłe pokojowe rozstrzygnięcie konfliktu. Sam zresztą dawał do zrozumienia, że półroczny okres jego prezydentury wystarczy na przerwanie tej wojny. Tymczasem minęło 9 miesięcy, a sytuacja nie uległa zmianie. Rokowania paryskie tkwią w martwym punkcie, a zapowiedź „wietnamizacji” wojny, czyli przerzucenia jej ciężaru wyłącznie na wojska sągjońskie, przy równoczesnym raczej symbolicznym niż rzeczywistym wycofywaniu oddziałów amerykańskich, niczego nie rozwiązuje. Rośnie przeto zniecierpliwienie społeczeństwa amerykańskiego, które to dobitnie ujawniło się właśnie w „Dniu moratorium”.

Jak na wydarzenia z ub. tygodnia zareaguje Nixon?

Zlekceważenie antywojennego ruchu, który dotarł do polityków i parlamentarzystów, mogłoby przynieść niekorzystne skutki. Przecież za rok odbywać się będą w USA wybory do Kongresu. Czy Nixon zaryzykuje więc wzmocnienie większości partii demokratycznej, większości która obecnie utrzymuje się w obu izbach Kongresu? Czy zaryzykuje swoją prezydenturę?

Pole walki w Wietnamie pld. i przebieg paryskich rokowań wykażą już wkrótce, jakie wnioski wyciągnął Nixon z „Dnia moratorium”.

Z innych wydarzeń ostatnich dni wymieńmy wizytę francuskiego ministra spraw zagranicznych — Schumanna w Związku Radzieckim. W czasie jej trwania dokonano przeglądu stosunków bilateralnych oraz sytuacji w Europie, na Bliskim Wschodzie i w Wietnamie. Przedmiotem rozmów były również problemy rozbrojenia.

Pobyt Schumanna w Moskwie przyniósł zapowiedź wizyty prezydenta Pompidou w ZSRR oraz Podgornego, Breżniewa i Kosygina — we Francji.

Komentując podróż Schumanna do ZSRR prasa francuska podkreśla, iż „linia postępowania wytyczona przez de Gaulle'a na rzecz odprężenia, współpracy i porozumienia pozostaje złotą regułą rządu” i że „Francja stara się kontynuować dialog ze Związkiem Radzieckim w atmosferze zaufania”.

W. ŚLAWSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Anatomia dywersji

1.

Wiadomości, przeglądy prasy, komentarze, programy kulturalne, audycje rozrywkowe, muzyka, sport, w południe hejnał z wieży Mariackiej w Krakowie i w każdą niedzielę obowiązkowo wyniki losowania Totolotka. 132 godziny emisji tygodniowo i taka opinia o sobie:

„Podczas, gdy „Głos Ameryki” i BBC reprezentują amerykański lub brytyjski punkt widzenia, Radio Wolna Europa umożliwia wolnym Polakom na Zachodzie przemawianie do kraju we własnym imieniu”.

Co o tym sądzą inni?

„Radio „Free Europe” — pisał w lipcu 1955 roku londyński „Tygodnik” — w swoich audycjach na kraj powołuje się na to, że jest głosem niezależnych Polaków. Już to jest impostura, samowładztwem, przypisywaniem sobie fałszywego całkiem charakteru. Wiadomo jest przecież, że radio „Free Europe” jest założone przez politykę obcą, musi słuchać rozkazów obcych, a pracownicy radia „Free Europe” są dosłownie agentami obcymi, a bynajmniej nie Polakami zachowującymi polską niezależność sądu w sprawach politycznych”.

Okazuje się, że nie wystarczy mówić po polsku, trzeba jeszcze po polsku myśleć, a to udaje się przede wszystkim nad Wisłą, między Bugiem, Odrą, Bałtykiem i Tatrami. Tak więc „wolni Polacy”, choć mienia się niezależnymi, takimi nie są i z Polską poza językiem nie mają wiele wspólnego. Radio Wolna Europa dysponuje 32 nadajnikami, umieszczonymi w 3 radiostacjach, z których 2 znajdują się w NRF — Biblis i Holzkirchen — i jedna w La Gloria koło Lizbony w Portugalii. Centrala mieści się w Monachium, w Anglii scher Garten. Ta lokalizacja ma swoją określoną wymowę. „Nadajemy z terytorium obcego — powiedział w audycji z 3 maja 1967 roku Jan Nowak — szef sekcji polskiej — i płyną stąd nieuniknione ograniczenia...” W każdym razie „wolni Polacy” o NRF nie mogą mieć niezależnego sądu. Podobnie o sprawach mocodawców. Nie jest już dziś dla nikogo tajemnicą, że RWE finansuje CIA — Central Intelligence Agency. Wiele interesującego materiału zebral na ten temat dr Janusz Koleczyński w wydanej ostatnio książce „Wolna Europa”. System zależności opiera się nie tylko na finansowaniu, ale i na tym, że w Komitecie Wolna Europa, który nadzoruje działalność RWE, zasiadają ludzie bez pośrednio z CIA związani.

2.

RWE nadaje swoje audycje w języku polskim, bułgarskim, czeskim i słowackim, węgierskim i rumuńskim. Przy czym najczęściej czasu w ciągu tygodnia poświęca się na audycje nadawane do Polski, CSRS i Węgier. W sumie tygodniowo RWE nadaje program obejmujący 540,16 godzin. Wśród audycji nadawanych po polsku — jak to podaje Janusz Koleczyński — 23 proc. czasu zajmują komentarze, 17 proc. — wiadomości, 16 — muzyka, 14 — sylwetki biograficzne, 11 — programy kulturalne, 7 — przeglądy prasy i po 6 proc. — sport i audycje rozrywkowe. Każda audycja z wyjątkiem dziennej powtarzana jest czterokrotnie.

RWE stara się docierać do wszystkich, audycje swoje adresuje do ludzi z różnych środowisk, a powtarzając je chce, aby jak najwięcej osób je usłyszeć. Nie ma czego mu dziwić, taka jest bowiem podstawowa metoda dywersji, tylko, że prawdziwymi adresatami audycji RWE są ludzie naiwni.

Wolna Europa stara się np. wyrobić przekonanie o swojej wszechwiedzy, o licznych kontaktach jakie ma w kraju, o szerokim i systematycznym dopływie informacji. „Niektóre audycje RWE naszpikowane są konkretnymi faktami z Polski — pisze J. Koleczyński w swojej książce — datami, nazwiskami itp. i to zaczerpniętymi — jak to się mówi — z samego dołu. RWE wie, co robi np. kółko rolnicze w Rzeszowskiem, co mówią na zebraniu w zakładach przemysłowych w Łodzi itp.

Myłiby się jednak ten, kto by sądził, że wynika to z wszechobecności „Wolnej Europy”. Tajemnica jest prosta. Są to dane zaczerpnięte z polskiej prasy”.

Posługując się drobiazgowymi, powołując się na fakty, o których można wiedzieć tylko w wypadkach ścisłych kontaktów autorzy audycji RWE niewiele ryzykują. W cyklu audycji o MSW można było powiedzieć, gdzie stoi palma, bo kto to w końcu sprawdzi, a jeśli na wet okaże się, że stoi w zupełnie innym miejscu, to przecież mogli już przestać. Opowiadając plotki sprzed kilku lub kilkunastu lat można u naiwnych i nieorientowanych wywołać wrażenie ich aktualności, bo jeśli nawet okaże się, że to było dawno i w dodatku nieprawda, to natwini uwierzą, a kto sprawdzi. Ci, co wiedzą, że to kłamstwo, protestować nie będą. Ta metoda ma olbrzymią przyszłość i jeszcze większą przeszłość. Przypomina mi się mój nauczyciel łaciny z gimnazjum Ziemi Kujańskiej we Włocławku, który przyłapałszy jednego z nas na kłamstwie, pouczał wszystkich za starożytnymi, że kto chce kłamać skutecznie, musi dbać o szcze gół. Jeśli oni znają takie szczegóły — powiadają ludzkie — to musi to być prawda. Właśnie, że niekoniecznie. To tylko doskonała znajomość anatomii kłamstwa.

3.

RWE posiada Wydział Badań i Analiz, który zatrudnia około 80 ludzi. Tutaj wpływają raporty z biur renowych RWE, ankiety przeprowadzane przez agentów w Wiedniu, Paryżu, Sztokholmie i Londynie, materiały z nasłuchu radiowego, tutaj czyta się i analizuje 1.660 dzienników i czasopism, w tym 975 z krajów socjalistycznych. Pracownicy Wydziału Badań i Analiz mają do swojej dyspozycji bibliotekę, liczącą przeszło 42 tys. tomów. Każda otrzymana informacja analizuje się i bada, sprawdza i ocenia, a następnie kieruje do odpowiedniego działu dokumentacji. Tak powstało archiwum składające się z przeszło 8 mln. jednostek dokumentacyjnych. Tutaj swoje kartoteki mają poszczególni działacze z krajów socjalistycznych, tutaj zbiera się informacje o problemach z życia naszych krajów i różnych instytucji.

Nie zapominajmy, że od roku kraj nasz opuściło i opuszcza wiele osób, które do tej pory mieniły się Polakami. Wszyscy oni przeszli i przechodzą przez gestę sito agentów RWE. Po-

nieważ droga rozstania się z Polską wiedzie przez Wiedeń, panowie: Chłlecki, Pomorski, Balko, Zamorski i inni mają ręce pełne roboty. Zebrany materiał posłużył już do spreparowania kilku nastu plotkarskich audycji, ale czy to informatorzy byli kiepscy, czy brak kontaktu i znajomości szczegółów krajowego życia spowodowały, że na audycje te mogli nabrać się przede wszystkim naiwni. Preparowano je bowiem według określonej i starej metody: trochę szcegółów, pseudoinformacji, kilka uogólnień plus plotka.

„Będziemy również przekazywali państwu — przytacza Janusz Koleczyński fragment audycji Lucjana Perzanowskiego z 3 lutego 1969 roku — te wiadomości, które w danej chwili zdają się sobie wzajemnie przeczyć. W miarę napływu nowych wiadomości będziemy uzupełniać, prostować lub potwierdzać poprzednie, a jeżeli niektóre z nich okażą się tylko plotką, to nie zapominajmy, że plotka polityczna jest bezpośrednim produktem określonej atmosfery w danej chwili panującej w kolach rządzących”.

Na falach RWE można usłyszeć jednak nie tylko plotkę polityczną, częściej gości tu plotka o ludziach, a zastrzeżenie o sprzeczności niektórych informacji po trzeba jest dla usprawiedliwienia częstej zmiany stanu wiska. Bowiem RWE zawsze jest przeciw temu, co służy umocnieniu socjalizmu, co ma przynieść korzyść polskiemu narodowi. Choć „wolni Polacy” stale powtarzają, że występują w obronie interesu polskiego narodu — siedzibę swoją mają przecież w Englischer Garten w Monachium.

4.

Na czele wydziału polskiego od chwili jego powstania stoi Jan Nowak vel Zdzisław Jeziorański, były współpracownik wywiadu brytyjskiego, a obecnie CIA. Jego zastępcą jest Tadeusz Zawadzki vel Zenycki kowski, jeden z organizatorów afery Bergu — wciągnięcia różnych ugrupowań emigracyjnych do pracy szpiegowskiej na rzecz USA. Drugim zastępcą jest Zygmunt Michałowski, silnie powiązany z CIA i wywiadem zachodnoniemieckim.

Wydział polski składa się z 20 osób. Wśród nich są m. in. Michał Lasota vel Tadeusz Chęciuk, specjalista od spraw chłopskich, który w

1948 roku uciekł z Polski, ks. Tadeusz Kirschke, redaktor audycji religijnych, łącznik z politycznymi ugrupowaniami w NRF, Adam Ciołkosz — lider prawicowych socjalistów, specjalista od fałszowania marksizmu oraz reprezentanci tendencji syjonistycznych — Michał Garmanikow vel Górecki, Jadwiga Mieczkowska vel Aleksandra Stypułkowska i Gustaw Herling-Grudziński. Ostatnio do starej kadry „do szluzowali” nowi: były pracownik GKKFiT — Lucjan Perzanowski i były redaktor „Sztandaru Młodych” — Krystyna Młotowska. Poza tym przed mikrofonami RWE występowali: były korespondent „Trybuny Ludu” w Bonn — Artur Kowalski, który odmówił powrotu do kraju oraz Eugeniusz Zytomirski.

„Jednym z kluczowych ogniw mechanizmu dywersji — interwencji ideologicznej jest „Wolna Europa”. Krótki przegląd jej działalności — pisze w zakończeniu swojej książki Janusz Koleczyński — daje pewne wyobrażenie o skali środków, uruchomionych dla celów dywersji ideologicznej. A trzeba przecież pamiętać, że „Wolna Europa” jest jednym tylko z ogniw monstrualnego wprost aparatu wojny psychologicznej”.

Ludzie pytają, dlaczego nie podejmuje się polemik, dlaczego nie demontuje plotek? Z bardzo prostego powodu. Zamiast pozwolić wciągnąć się w zawłóciła stulecia demontowania, co do prowadziłoby do zepchnięcia działalności propagandowej na margines problemów, jakie przynosi życie, a o to bardzo by panom z Englischer Garten chodziło, lepiej jest poznać do końca metody, jakimi się oni posługują, pokazać ludziom, jak żeruje się na ich naiwności. Lepiej jest pokazać cele tej dywersyjnej działalności — „rozmiękczenia”, „budowania mostów”, dezinformowania, wprowadzania zamętu, szkolenia pokojowej, codziennej pracy tu nad Wisłą. Temu demaskatorskiemu celowi służy książka Janusza Koleczyńskiego, autora drugiej już publikacji na temat RWE, poważnego specjalisty w dziedzinie dywersji ideologicznej stosowanej wobec krajów socjalistycznych.

Janusz Koleczyński, „Wolna Europa”, Wydawnictwo MON, Warszawa 1969, wydanie pierwsze, str. 224, cena 8 zł.

Konkurs trzydziestu tysięcy

Zainicjował go dwutygodnik regionalny „Ziemia Łęczycka” i jego kulturalna mutacja „Wiadomości Kutnowskie”, przy czynnym poparciu komitetów powiatowych PZPR, wydziałów oświaty i kultury prezydentów PRN i zarządów powiatowych ZNP w powiatach: kutnowskim, łęczyckim i poddębickim oraz muzeów w Łęczycy i Oporowie. Objął on swym zasięgiem ponad 30 tysięcy chłopców i dziewcząt ze szkół średnich, ogólnokształcących i zawodowych oraz klas od 5 do 8 włącznie wszystkich szkół podstawowych. Jak wiadomo, tereny te były głównym polem Bitwy nad Bzurą, największej operacji oręża polskiego we wrześniu 1939 r. Z tym też wydarzeniem związana jest tematyka konkursu.

Młodzież przygotowywała się do udziału w pracy konkursowej przez całe lato. Wiele drużyn harcerskich oraz członków ZMS i ZMW otoczyło troskliwą opieką emmentarze i mogiły Żołnierzy Września, a także bojowników poległych w boju, czy zamordowanych przez hitlerowskich okupantów. Przeprowadzono wiele rozmów z kombatantami, żołnierzami Armii „Poznań” i „Pomorze”, wymieniono z nimi wiele korespondencji.

Największej jednak pracy przygotowawczej dokonałi nauczyciele. Usystematyzowali wiedzę zdobytą przez młodzież, dokonali pierwszej oceny przeszło 22 tys. zgłoszonych na konkurs prac, kwalifikując najlepsze z nich do dalszych etapów konkursu.

Prace kwalifikacyjne są w toku. W drugiej połowie października nastąpi zakończenie tego pożytecznego konkursu.

Autorom najlepszych prac wręczone zostaną nagrody ufundowane przez muzea w Łęczycy i Oporowie, władze powiatowe oraz redakcję.

Listy z Austrii



List drugi
w którym autor opisuje Polonię austriacką

Polaków w Austrii jest mało, mniej niż w innych krajach. Według danych statystycznych (nieodkładnych, niestety) liczba ich wynosi ok. 5 tys. z czego 3 tys. mieszka w Wiedniu, druga grupa w Linzu, a niewielka garstka w Salzburgu. Z Polonią wiedeńską miałem kontakt stały, zachodziłem do ich lokalu na Schwindgasse, gdzie mieszkał również „Polnischer Leseraum”, placówka analogiczna do działającej w Warszawie „Czytelnia austriackiej”. Związek Polaków Austrii „Strzecha” (bo ten mam tutaj na myśli) nie jest jedyną organizacją polską w tym kraju. Istnieje i działa także emigracyjna polityczna pn. Stowarzyszenie Polskiej Kultury, wydająca co miesiąc biuletyn na powielaczu i od czasu

do czasu jakieś niewielkie książeczki. Mimo swej ruchliwości stowarzyszenie to nie odgrywa większej roli i nie posiada decydującego wpływu na środowisko polskie, żyjące w rozproszeniu i pochłonięte pracą zarobkową, a niekiedy po prostu walką o byt. Ciekawe są dzieje Polonii austriackiej. Ciekawe i zmienne. Myślę, że sprawa ta zainteresuje czytelników w kraju i dlatego pragnę jej poświęcić trochę miejsca. Informacje, zwłaszcza odnoszące się do przeszłości, zawdzięczałem dwóm wytrwałym i długoletnim działaczom polonijnym, którzy od wczesnej młodości mieszkają w Wiedniu i do dziś czynnie uczestniczą w pracy nad utwierdzeniem polskości na obczyźnie — dr. F. Pogrzebaczowi i red.

Bogdanowi Baronowi. Spotykałem się z nimi często w czasie mego pobytu w Austrii, wymieniliśmy wiele uwag na tematy polonijne, obaj panowie byli tak uprzejmi, że pewne rzeczy przekazali mi na piśmie w skierowanych do mnie listach, za co pięknie im z tego miejsca dziękuję.

W tym roku „Strzecha” obchodzi 75-lecie swego istnienia, ale nie była to pierwsza organizacja polska w Austrii. Pierwsza pn. „Ognisko” powstała w 1868 roku i skupiała głównie akademików, studiujących na uniwersytecie wiedeńskim. Wkrótce potem książę Jerzy Czartoryski założył „Bibliotekę Polską” z bogatymi zbiorami, a także szkołę dla dzieci, które rokrocznie wysyłano na wakacje do kraju.

W dziesięć lat później (1878) powstało drugie stowarzyszenie polskie „Zgoda”, którego założycielem był wybitny działacz, wiceprezydent, a następnie prezydent Izby Poselskiej w austriackiej Radzie Państwa — Franciszek Smolka. Nie minęło następnych lat dziesięć (1886) i znów pojawiła się nowa organizacja polska „Lutnia”. „Strzecha” powstała z połączenia się „Zgody” i „Lutni” w jednolity organizm w 1894 r. „Strzecha” jest więc najdłuższą działającą organizacją polonijną w Austrii, od ośmiu lat wydaje stały biuletyn informacyjny, zawierający nie tylko kronikę życia polonijnego, ale również artykuły problemowe oraz utwory literackie (zwykle są to przedruki z prasy krajowej). Każdy, kto zechciałby przestudiować życie polskie w Austrii, a osobliwie w Wiedniu, znajdzie wśród działaczy polonijnych wiele szacownych nazwisk, często byli to wybitni politycy, artyści i pisarze (np. Tadeusz Rittner), którzy na trwałe wpisali się do dziejów kultury polskiej.

Jednym z najistotniejszych zadań każdej polonii zagranicznej, a więc również Polonii austriackiej jest zachowanie polskości, tj. trwałej znajomości języka i poczucia przynależności narodowej. Nietłwa to sprawa. Piszący te słowa interesował się w swoim czasie Polonią francuską i wie, jak szybko postępuje proces wchodzenia w obce środowisko, zwłaszcza dzieci urodzonych już na emigracji. Znam ludzi, którzy reprezentują pogląd, że im prędzej ich dzieci staną się Francuzami, tym będzie im lepiej, nie będą żyć w rozdwojeniu i nie muszą być nosicielami odwiecznego losu polskiego, który ma wprawdzie powąby na kartach literatury pięknej, ale mniej tych powąbów posiada w życiu. Ale znam i przypadki przeciwne: usilnych i uwiecznionych sukcesem dążeń do zachowania polskości nawet w bardzo trudnych warunkach. W Wiedniu poznałem rodzinę H. Ona, Polka, poznała swego męża, Austriaka, w czasie Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie, pobrali się i zamieszkali na stałe w Wiedniu. Otóż pani H. nauczyła swego męża po polsku, po polsku mówią także jej dwaj uroczy synkowie. Wiem o tym nie ze słyszenia. Rozmawiałem z nimi po polsku podczas wyprawy na Kahlenberg, albowiem rocznica Odsieczy Wiedeńskiej jest dla Polaków w Austrii świętem. Wybiecili się wówczas gromadnie na Kahlenberg, aby złożyć wieńce w kaplicy Jana Sobieskiego (Sobieski-Kapelle). Wzgórze, na którym stoczono zwycięską bitwę z Turka-

mi, rozbrzmiewa w ten dzień (jest to zazwyczaj pierwsza niedziela po 12 września) językiem polskim, ludzie, którzy niekiedy dawno się nie widzieli, witają się z rozrzewieniem i dają upust swoim sentymentom narodowym.

W tym miejscu mała dygresja: w literaturze światowej daje się zauważyć lekceważenie lub wręcz pomijanie roli Jana Sobieskiego w Odsieczy Wiedeńskiej. Niedawno ukazała się w Anglii książka tamtejszego historyka, Ronald Brydena, pt. „The Levantine Adventure” (Przygoda Lewantyńska), opisująca w sposób szczegółowy powstanie, rozwój i upadek państwa otomańskiego, natomiast o Odsieczy Wiedeńskiej można przeczytać jedno tylko zdanie: „...before Eugene of Savoy hurred back its tide for good in 1683 from the portals of Vienna” (zanim Eugeniusz Sabautski w r. 1683 nie odrzucił raz na zawsze nawalu spod bram Wiednia). O Janie Sobieskim ani słowa w całej książce. Podobne przypadki pomniejszania lub całkowitego przemilczenia pomocy polskiej znaleźliśmy w historiografii niemieckiej, a także austriackiej. Ale tu właśnie upatrywałbym jedno z istotnych zadań Polonii i w ogóle każdej emigracji. Za miast prowadzić spory wewnętrzne, rozpraszać siły i energię, czy nie lepiej szerzyć wiedzę o Polsce, a szczególnie o jej udziale w historii Europy? Wśród działaczy polonijnych wielu jest ludzi wykształconych, znakomicie władających obcymi językami, którzy są wprost powołani do tego, aby dbać o dobre imię własnego kraju.

Z członkami „Strzechy” miałem spotkanie autorskie. Zjawili się licznie i spędziliśmy wspólnie bardzo sympatyczny wieczór. Po ożywionej dyskusji siedzieliśmy jeszcze długo w gościnnych salach „Czytelnia polskiej” przy herbarcie i kanapkach. Mogłem wówczas stwierdzić dobrą, często wręcz doskonałą znajomość polszczyzny, zarówno u ludzi starszych, jak i młodszych. Trzeba jednak dodać, że o ile starsi chętnie biorą udział we wszelkich imprezach, przychodzą na zebrania do „Strzechy”, czytają polskie książki i czasopisma, o tyle młodzi nie wykazują tak wielkiego zainteresowania. Tłumaczy się brakiem czasu, ale jakże często jest to po prostu niewrażliwość na sprawy ojczyzny. „Strzesze” bardzo w jej działalności pomaga „Czytelnia polska”, posiadająca duży zbiór książek (Wasze

książki, Koledzy, też się tam znajdują), czasopism i broszur nie tylko w języku polskim. Nie ma mięsiąca, żeby w „Czytelnia polskiej” nie odbyło się co najmniej kilka imprez. Prawie każdy artysta, pisarz czy profesor, przyjeżdżający do Wiednia, nawiązuje kontakt z „Czytelnia polską”, która, korzystając z ich pobytu, organizuje z nimi spotkania dla środowiska polskiego (członków „Strzechy”) oraz dla publiczności austriackiej. Austriacy chętnie przychodzą do „Czytelnia”. Atmosfera, jaka się w czasie takich spotkań wytwarza, sprzyja nawiązywaniu kontaktów, wymianie poglądów i wzajemnemu poznaniu. A w końcu o to właśnie chodzi, aby się lepiej poznać, zrozumieć i porozumieć. Wiedza o Polsce ciągle jeszcze jest niezadowolająca. Ciągłe jeszcze wiedza o nas na świecie mało. Każdy Polak, przebywający za granicą, powinien być ambasadorem swojego kraju. Jest to, oczywiście, założenie idealne. Rzeczywistość daleko od tego stanu. Spotykałem za granicą (również w Wiedniu) przybyszów z Polski, dla których jedynym celem była gonitwa (z jeźdźcem na brodzie) po sklepach i magazynach. Ludzie ci nie widzieli, niczego i nikogo nie poznali, gdyż owa dawała im miraż zakupu, miraż zrobienia fortuny, a w najgorszym razie dobrego interesu. Jakże oni szkodzą polskiemu imieniu! Ale czort z nimi.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Polonii austriackiej. Na wiedeńskim Centralfriedhof (Cmentarz Centralny) znajdują się 32 groby żołnierzy polskich, którzy po kampanii wrześniowej wzięci do niewoli i przedwiezieni przez hitlerowców do Wiednia, zmarli tutaj w wyniku odniesionych ran i wycieńczenia. Groby te pielęgnują członkowie „Strzechy”. Każdego roku w Zaduszki za palają się na mogiłach żołnierzy polskich znicze, tu w Wiedniu i na wielu cmentarzach Europy i świata, świadczą dowodnie o tradycji walk „za wolność naszą i waszą”. Gdy o tym myślałem, przypomniał mi się wiersz Eugeniusza Małaczewskiego, chyba najpiękniejszy jaki znam, a w wierszu tym strofa, którą przepowiadałem sobie na Zentralfriedhof w Wiedniu po wiele razy:

*Miałem mów — trzykrotna salwa
rozległa się echemi
i pozostali martwi
i na wiek wieków sami.*

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ◆ **O KULTURZE W NADDUNAJSKIEJ STOLICY** — pisze Jan Koprowski
- ◆ **FILM PO REWOLUCJI** — Andrzej Hampel
- ◆ **JAK ZDOBYĆ MIESZKANIE** — pisze Bogda Madej
- ◆ **recenzje, felietony, ciekawostki ze świata, nowela kryminalna**

JERZY KWIECIŃSKI

Moda na Bacha i organy

Zakończył się, zorganizowany przez Filharmonię Łódzką, ogólnopolski Festiwal Muzyki Organowej i Oratoryjnej. W stosunku do obu poprzednich festiwali, ograniczających się do muzyki organowej, tegoroczny przyniósł bardzo istotne rozszerzenie programu o dzieła oratoryjne, wymagające — jak wiadomo — wielkiego i sprawnego aparatu wykonawczego.

Dzięki tej śmiałej innowacji łódzki festiwal spotkał się w tym roku z żywym zainteresowaniem miłośników muzyki i zgromadził na ośmiu koncertach prze-

szło pięć tysięcy słuchaczy. Sukces, jakiego nie odniosła już dawno łódzka Polihymnia, jeśli nie brać pod uwagę opery, która jest wszakże teatrem muzycznym.

Ale przecież nie tylko „kasowym” powodzeniem mierzyć się wartość artystycznej imprezy, zastanówmy się więc — co się na nią złożyło.

O wartości festiwalowego programu mówią najlepiej same nazwiska kompozytorów — Bach, Haendel, Mozart, Couperin, Scarlatti, Vivaldi, a ponadto jeszcze wielcy mistrzowie polskiej

muzyki Odrodzenia i Baroku: Mikołaj Gomółka, Wacław z Szamotuł, Bartłomiej Pękiel, Mikołaj Zielenki...

Wykonawców przewinęła się cała plejada. Wśród zespołów — oprócz orkiestry symfonicznej i chóru Filharmonii Łódzkiej pod batutą Stefana Marczyka, Arkadiusza Basztonia i Zygmunta Gzelli usłyszeliśmy jeszcze trzy chóry mieszane: łódzkich szkół muzycznych — wyższej i średniej (pod dyktando Kazimierza Dębskiego) oraz Chóru Akademickiego Uniwersytetu Warszawskiego. Wystąpiło czterech polskich organistów, w tym łódzcy — Jan Kucharzski i Mirosław Pietkiewicz oraz Irlandczyk Gerard Gillen, a w oratoriach — ośmiu solistów wokalistów (Lidia Skowron, Delfina Ambroziak, Pola Lipińska, Izabella Kobus, Irena Winiańska, Kazimierz Pustelak, Zdzisław Krzywicki i Adam Szybowski). Nazwiska godne przytoczenia, ponieważ dały nam możliwość upewnić się,

że tak trudny rodzaj muzyki jak oratoryjna znajduje w Łodzi pokaźne grono doskonałych wykonawców wśród naszych śpiewaków.

Dla pomyślnej przyszłości tej pięknej imprezy trzeba chyba upomnieć się o większy w następnych festiwalach udział muzyki współczesnej, zwłaszcza organowej. Wielu słuchaczom organy, które już od dawna przestały być instrumentem służącym wyłącznie potrzebom kultury religijnej, musiały objawić się jako zupełnie rewelacja w wykonywaniu muzyki współczesnej, a głównie — najnowszej. Na przykładzie utworów angielskiego kompozytora Kennetha Leighton'a i przede wszystkim łódzianina Bernarda Pietrzaka mogli słuchacze dopiero poznać całe bogactwo brzmienia tego wspaniałego instrumentu, jego wprost nieograniczone możliwości ekspresji. Jest to instrument jakby stworzony dla współczesnego kompozytora i nie sposób

wyobrazić sobie, żeby pomyślił muzyczne zawarte w Concerto Grosso Pietrzaka można było wyrazić bez udziału organów. Było to zresztą prawykonanie utworu.

Na organy komponuje się coraz więcej na całym świecie, a w wielu krajach, gdzie nie było tradycji tego instrumentu, jak np. w Związku Radzieckim, montuje się teraz organy w licznych salach koncertowych. Co ciekawe, organy stały się też, w ostatnich latach, instrumentem zwabiającym młodzież na koncerty muzyki poważnej, co można było również zauważyć na łódzkim festiwalu. Bardzo obciążająca „moda” na Bacha i na muzykę organową zatacza coraz szersze kręgi i staje się zjawiskiem powszechnym.

Bieda w tym, że Łódź — pomijając Wyższą Szkołę Muzyczną — nie ma organów w żadnej sali koncertowej. Ze względu na stałe ro-

snące znaczenie organów dla muzycznego wychowania młodego pokolenia i trwałe go pozyskania go dla muzyki artystycznej, wydaje się niezbędne jak najszybsze wyposażenie naszej Filharmonii w ten instrument, bez czekania na budowę gmachu dla filharmonicznej placówki. Po pierwsze — jest to przyszłość zapewne dość jeszcze odległa, a po drugie — organy można przecież w razie potrzeby rozmontować i zainstalować na nowym miejscu.

Trzeba zdać sobie sprawę, że łódzkie festiwale, mające tak duże znaczenie dla rozwoju kultury muzycznej w naszym mieście, mogły się odbyć tylko dzięki gościnie, udzielonej przez kościół ewangelicki św. Mateusza, dysponujący odpowiednim instrumentem.

Ambitnej inicjatywie Filharmonii Łódzkiej należą się słowa uznania, a pięknej imprezie — życzenia pomyślnej kontynuacji.

List gończy

Dalszy ciąg ze str. 1

Niemiec z Rzeszy — Schmidt. Bendus był członkiem NSDAP, często chodził w partyjnym mundurze. Jego przyjacielem był gestapowiec Werner z łódzkiego Gestapo.

W końcu kwietnia 1942 roku zostali aresztowani pracownicy zakładu: Stanisław Lewandowski, Stanisław Stańczak, Zygmunt Gogolewski, Józef Florjański, Jan Potkowski. Aresztowanie nastąpiło w gabinecie Bendusa w obecności gestapowca Wernera. Wszyscy aresztowani podejrzani byli o czytanie nielegalnych ulotek i sabotaż. Osadzeni zostali w więzieniu przy ul. Sterlinga. Na przesłuchanie przewożeni byli do Gestapo na Anstadta. W przesłuchaniach brał udział Werner.

W dniu 20 czerwca 1942 roku wszystkich pracowników zakładu „Promotor” zgrupowano w pomieszczeniu dla mistrzów. Stamtąd po pewnym czasie puszczono ich na halę. W środku znajdowało się 80 gestapowców, w rogu stał karabin maszynowy gotowy do strzału. Na hakach wbitych w belkę wisiały pętle, pod nimi ustawiono stołki. Wprowadzono pięciu aresztowanych robotników, założono im pętle na szyję.

Przed egzekucją Bendus wygłosił przemówienie, w którym oświadczył: „Polacy! — my wam dajemy dach nad głową, dajemy pracę, a znaleźli się zdrajcy, którzy działali na szkodę państwa niemieckiego mimo że Niemcy prowadzą ciężką walkę na frontach”. Po tym przemówieniu zezwolił na wyrażenie życzeń stojącym pod pętlami. Ludzie ci prosili o powiadomienie rodzin o losie jakich spotkał, następnie wzniesli okrzyk: „Niech żyje Polska niepodległa!”.

Dwóch Niemców wyszarpnęło podstawy i skazani zawisli w powietrzu. Po kilku minutach lekarz stwierdził zgon, zwłoki zdjęto, załadowano na samochód i wywieziono w nieznanym kierunku. Do tej pory nie zdołano ustalić, gdzie zakopano ich ciała. Robotnicy ci powieszeni zostali bez sądu. Niemcy nie ogłosili również obwieszczenia o ich egzekucji.

W toku śledztwa stwierdzono, że inicjatorem tego publicznego morderstwa był Bendus, a jego głównym pomocnikiem Werner. Obaj do tej pory nie zostali schwytani i nie ponieśli kary za swą zbrodnię.

Nie ukarani zostali dotąd hitlerowcy, którzy jesienią 1943 roku w kołonie Kietlin pow. Radomsko zamordowali dwanaście osób. Ubrani byli w cywilne ubrania, na głowach nosili tyrolskie kapelusze. Weszli do budynku rolnika Władysława Librowskiego, który przechowywał osiem osób narodowości żydowskiej. Wyprowadzili Librowskiego z mieszkania i zastrzelili na podwórku. Następnie wyciągnęli z mieszkania

staruszkę, matkę zabitego, którą również zastrzelili na miejscu. Po dokonaniu morderstwa na Polakach udali się do stodoły i wyprowadzili stamtąd grupę Żydów: dwoje dzieci, trzy kobiety, trzech mężczyzn. Wszystkich zastrzelono natychmiast, ciała wrzucono do gnojowiska. Były to rodziny żydowskie Checińskich i Bugajskich z Radomska.

Ci sami Niemcy w kilka dni później przyjechali do wsi, zabrali z sobą gospodarza Gerwazego Bieńkowskiego, wyprowadzili w pole i zastrzelili, gdy usiłował uciekać. Z kolei dwóch innych żandarmów przywozilo do wsi samochodem osobowym jakiegoś nieznanego mężczyznę, którego zabito na łące za młynem.

Nazwisk sprawców nie udało się ustalić. W toku śledztwa polskie organa ścigania stwierdziły jednak, że jednym z morderców był szef żandarmerii w Radomsku niejaki Szmalc.

Na wolności znajdują się również Ross i Brandt, żandarmi z posterunku w Belchatowie. Winni są oni morderstw dokonanych na trzech oficerach i podoficerach Wojska Polskiego.

Było to 7 września 1942 roku. Prowadzili oni skutych kajdankami oficerów i podoficerów — Jana Tyszkę, Tadeusza Kowalczyka i Zygmunta Kulika. W pobliżu aresztu bez żadnego powodu strzelali z karabinów zamordowali więźniów. W tym samym jeszcze dniu żandarm Brandt zastrzelił na dziedzińcu więziennym kierownika elektrowni w Belchatowie — Szelagowskiego.

W toku śledztwa udało się ustalić, że w okresie kiedy dokonywano morderstw na oficerach i podoficerach WP burmistrzem na terenie Belcha-

towa był Niemiec Tralmer. Jemu to podlegała administracyjnie żandarmeria i on to na równi z bezpośrednimi sprawcami winien jest dokonanej zbrodni. Współudział w zbrodni ma również komendant tamtejszego posterunku, żandarm Beiman.

Cóż jednak znaczą te plotki w porównaniu z faktami Radogoszcza, których widzieliśmy na „rodzinnym” zdjęciu. Śmierć była ich rzemiosłem, znęcanie nad bezbronniemi więźniami było ich drugą naturą.

Przypomnijmy co działo się z ludźmi więzonymi w katowni Radogoszcza. Przede wszystkim przywiezionych więźniów rozbiierano do naga, mężczyzn golono specjalnie tępymi brzytwami. Następnie zmuszano ich do włożenia głowy do beczki z wodą, by nie było słychać krzyków kiedy poddawano ich torturom. Bito do utraty przytomności. Bito podczas przechodzenia do ustępu, bito na zbiórkach, bito w czasie kąpiele, bito o każdej porze dnia i nocy. Podczas szczególnie ciężkich mrozów więźniowie rozebrani do naga musieli wystawać godzinami na podwórzu. Innym rodzajem tych średniowiecznych tortur było pedzenie bosych ludzi po rozpalonym żużlu.

Na terenie obozu znajdował się tzw. „maneż”. Była to klatka z drutu kolezastego. Cztery razy dziennie zmuszano więźniów do biegania dwójkami po tym „maneżu”. Kto padł ze zmęczenia tego dobijano. Podczas biegu nie wolno było więźniom patrzeć na tych, którzy ich biją. Więźniowie zresztą sami zamykali oczy by pod uderzeniami knuta nie utracić wzroku. Często się komuś zdarzało. Gdy wybito kogoś oko esesman pytał wtedy więźnia: „kto wybił ci oko?” i Niemiec, ale te Niemcy, które dziś wskazując na drugiego więźnia powiadał: „to on, zbij go”. Jeśli i nie powinny zwyciężyć”.

więzień nie wykonał rozkazu był rozstrzelany.

Na dzień przed wyzwoleniem Łodzi tzn. 18 stycznia mieszkańcy Radogoszcza usłyszeli liczne strzały na terenie obozu. Około godziny szóstej strzelanina się wzmogła. Rzucono się do okien. Wtedy hitlerowcy otworzyli ogień do otwieranych okiennic. Gdy się rozwidniło z więzienia wybuchł słup dymu. Ludzie zamarli z trwogi. Zrozumie- li: Niemcy podpalili więzienie. Esesmani usadowili się w wieżach, okopach, bunkrach i strzelali w okna płonącego budynku. Więźniowie wyskakowali z okien. Dym rósł jakby całe miasto płonęło. Spośród ognia, dymu i nie milknących strzałów niosła się pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ludzie klękali na śniegu i odmawiali modlitwy za konających. Wieczorem zaległa śmiertelna cisza. W kilka godzin później wkroczyli do Łodzi gwardziści Czerwonej Armii. Byli pierwszymi, którzy przynieśli pomoc nielicznym, pozostałym jeszcze przy życiu więźniom. Leżeli oni wśród stosów zniekształconych, spalonych trupów.

Męczeńską śmiercią zginęło ponad 2 tysiące więźniów, uratowało się zaledwie 10.

Zbrodnia, która działa się na terenie obozu wyzwoliła ludzkie uczucia tylko u jednego z żandarmów. Był nim starszy wachmistrz Waldemar Norkwest. Na widok płonących żywcem ludzi uciekł z terenu więzienia, położył się do łózka razem z żoną, zerwał bezpiecznik z granatu... Przedtem napisał list: „Dla Niemiec, które bezbronnych ludzi tak okrutnie mordują nie to bowiem zdarzało. Gdy wybito również krwawielem dla zwycięstwa więźnia: „kto wybił ci oko?” i Niemiec, ale te Niemcy, które dziś wskazując na drugiego więźnia powiadał: „to on, zbij go”. Jeśli i nie powinny zwyciężyć”.

Norkwest wymierzył sobie sam sprawiedliwość, komendant obozu Pelzhausen (ten w środku) z wyroku sądu polskiego zawisł w 1947 roku na szubienicy w miejscu swej zbrodni. Inni jednak oprawcy z Radogoszcza, których widzimy na tym zdjęciu, lub współodpowiedzialni za zbrodnię, jak np. nadburmistrz Łodzi Werner Ventzki, organizator łódzkich obozów, Herman Krummy, zbrodniarze w to-gach — m. in. Oskar Heildinger, dr Mohs, dr Bayer czy dr Cramer, którzy skazywali na śmierć na Radogoszczu tysiące niewinnych ludzi, żyją do dziś spokojnie w NRF, cieszą się bezkarnością i piastują wysokie stanowiska w zachodniemieckim wymiarze sprawiedliwości.

KAROL BADZIAK

POLONICA

SZWAJCARSKA KSIĄŻKA O POLSCE

Niedawno ukazała się nowa książka szwajcarskiego pisarza, Hansa Zbindena, o Polsce, pt. „Polen einst und jetzt” (Polska kiedyś i obecnie). Najpierw kilka słów o autorze, Hans Zbinden, wybitny krytyk i esesista szwajcarski, prezes Związku Pisarzy Szwajcarskich, mieszkający stale w Bernie, odwiedził Polskę trzykrotnie: dwa razy przed rokiem 1939 i raz po ostatniej wojnie (ostatnim razem przebywał również w Łodzi, gdzie wygłosił dla środowiska uniwersyteckiego dwa odczyty). W czasie jego drugiego pobytu przed wojną, zastał go w naszym kraju najazd hitlerowski w dniu 1 września. Hans Zbinden wrócił do Szwajcarii drogą okrężną przez Rumunię. W wy-danej obecnie książce autor opisał wszystkie swoje wrażenia z naszego kraju. Zaznaczymy od razu, że chociaż książka Zbindena nie jest pozbawiona akcentów krytycznych, to przecież jej ogólna tonacja wyraża się w życzliwym stosunku do Polski. Nie jest to również, jak często się zdarza, książka powierzchowna. Hans Zbinden posiada szerszą wiedzę o Polsce, zna nieco jej historię i literaturę, co pozwala mu w sposób niebanalny, a niekiedy nawet głęboki analizować wydarzenia i fakty polskie. Książka zawiera ponadto liczne, bardzo ciekawe ilustracje, co przydaje jej wartości i upiększa opisane wydarzenia.

POLONICA



Zaloga obozu w Radogoszczu

(zdjęcie archiwalne)

Amnestia 1969

Dalszy ciąg ze str. 1

kowych ustaw amnestycznych. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej obecna amnestia jest szóstym z kolei aktem ustawodawczym tego rodzaju.

U podłoża ustawy amnestycznej z dnia 21 lipca 1969 r. wydanej — jak stwierdza preambula do tej ustawy — z okazji dwudziestopięciolecia Polski Ludowej, legło kilka zasadniczych względów. Wzrastająca stabilizacja prawna i wzrost poszanowania prawa, a co za tym idzie, zmniejszenie się przestępczości, pozwoliły na generalne darowanie lub obniżenie kar znacznej części osób odbywających kary pozbawienia wolności. Postępująco szybkie przekształcenia w życiu społeczno-gospodarczym kraju spowodowały, że odpadła potrzeba penalizacji (karania jako przestępstw) całego szeregu czynów lub wystąpiła możliwość wydatnego złagodzenia represji za cały szereg przestępstw; wyrazem tych przemian była już uprzednio ustawa z dnia

17 czerwca 1966 r. o przekazaniu niektórych drobnych przestępstw jako wykroczeń do orzecznictwa karno-administracyjnego, która drobne kradzieże mienia społecznego nakazała traktować jako wykroczenia podlegające odciążeniu ukaraniem przez sądy, lecz przez kolegia karno-administracyjne. Istotną rolę odegrała tu wreszcie konieczność przygotowania aparatu sądowo-prokuratorowskiego i więziennictwa do zadań, które stanęły przed nimi w wyniku reformy prawa karnego, jaka wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1970 r. Reforma ta, największa bodaj w dziejach naszego prawa karnego, kładzie kres dominacji kary pozbawienia wolności jako naczelnego środka represji karnej i wprowadza nowe, wczesne zróżnicowanie represji, w którym rezygnuje się z krótkoterminowych kar pozbawienia wolności na rzecz szeregu innych środków oddziaływania społecznego, nie związanych z

osadzeniem w więzieniach. Pozbawienie wolności pozostało w nowym systemie jako środek ostateczny, przewidziany wobec ciężkich przestępstw lub recydywistów, w stosunku do których inne środki oddziaływania okazały się bezskuteczne. W tym stanie rzeczy zrozumiałe jest dążenie ustawodawcy do zwolnienia z zakładów karnych osób odbywających krótsze kary pozbawienia wolności, z których stosowania zrezygnowano w nowym ustawodawstwie, i do uzyskania przez to w dniu 1 stycznia 1970 r. takiej sytuacji, by przynajmniej większość osób pozbawionych wolności mogła zostać poddana jednolitemu traktowaniu opartemu na nowych zasadach.

Ustawy o amnestii, choć w potocznym rozumieniu stanowią generalne darowanie orzeczonych kar, w istocie posiadają znacznie bardziej bogatą i różnorodną treść, wynikającą z faktu, że obejmują nie tylko osoby aktualnie odbywające kary, ale również osoby jeszcze nie ukarane, przeciw którym toczy się w prokuraturze lub w sądzie postępowanie, a nawet osoby, których przestępstwa nie zostały w chwili wydania ustawy jeszcze ujawnione. Ustawa amnestyczna normuje więc przede wszystkim generalne zastosowanie łaski wobec osób prawomocnie skazanych oraz tzw. abolicję, czyli zakaz wszczynania postępowania karnego lub polecenie umo-

wienia już wszczętego postępowania, a wreszcie zawiera cały szereg innych postanowień precyzujących zasady działalności organów sądowo-prokuratorowskich.

Ustawa amnestyczna z dnia 21 lipca 1969 r. obejmuje przestępstwa popełnione przed dniem 13 lipca 1969 r., czyli — do dnia 13 lipca 1969 r. włącznie. Zakres zastosowania dobrodziejstwa zawartych w ustawie uzależniony jest — najogólniej mówiąc — od maksymalnej kary, jaka grozi w ustawie za określone przestępstwo, a także — od kary faktycznej wymierzonej przez sąd w wyroku. Im wyższe jest zagrożenie karne i im surowsza jest faktycznie wymierzona kara, tym w mniejszym stopniu ustawa karę tę łagodzi.

Jeśli przestępstwo zagrożone jest w ustawie maksymalną karą pozbawienia wolności do lat 2 lub grzywną (względnie obu karami łącznie), przestępstwa jeszcze nie osądzone puszczą się w niepamięć i przebaczą, zaś w stosunku do przestępstw już osądzonych kary orzeczone daruje się w całości. Jeśli górna granica kary grożącej w ustawie za dane przestępstwo jest wyższa od lat dwóch, wówczas:

➤ daruje się kary pozbawienia wolności orzeczone w rozmiarze do lat 2; ➤ łagodzi się o połowę karę pozbawienia wolności orzeczoną w rozmiarze do lat 3;

➤ łagodzi się o jedną trzecią kary pozbawienia wolności orzeczone w rozmiarze większym.

Szczególną cechą obecnej amnestii jest daleko idące uprzywilejowanie kobiet sprawujących opiekę nad dziećmi do lat 16, osób starszych, które przed 22 lipca 1969 r. ukończyły lat 60 (mężczyźni) względnie lat 50 (kobiety) oraz osób małoletnich, które w powyżej wskazanej dacie nie miały ukończonych lat 18. W stosunku do tych osób całkowitemu darowaniu i puszczeniu w niepamięć podlegają przestępstwa zagrożone w ustawie karą maksymalną do lat trzech. Jeśli zaś chodzi o przestępstwa zagrożone w ustawie maksymalną karą surowszą aniżeli lat 3, daruje się kary orzeczone w rozmiarze do lat 3, łagodzi się o połowę kary orzeczone w rozmiarze od lat 3 do 5, łagodzi się o jedną trzecią — kary orzeczone — powyżej lat 5. Tak daleko idące rozszerzenie postanowień amnestycznych w stosunku do kobiet, osób starszych i młodocianych jest wyrazem troski ustawodawcy ludowego o los dzieci powierzonych wychowaniu skazanych kobiet, osób starszych, które dolegliwie kary odczuwają w sposób szczególnie silny, a także o młodzież, w stosunku do której założone jest oddziaływanie przede wszystkim środkami pozarepresyjnymi, wychowawczymi.

Otwierając szeroko bramy zakładów karnych, a także okazując wielokudusz-

GAWĘDA O KRADZIONYM CZASIE



Osiwym przedranu z zagród wytaczają się wozy. Polną drogą, kociol bitymi uliczkami jadą. Przed cukiernią rzenie koni, trzask bata. Ciężka cholera leci spod wasa. Idzie w górę dynia słońca, chlasta poziota po końskich zadach. A w chłopskich oczach, twarzach, w rękach roztrzęsionych tańczy złość. Rozładujesz ją kwiecistą wiachę. Ulży ci. Sporta sztachniesz. A najlepiej ulżysz sobie tą ćwiercią szkła w czerwonej nalepce. Słońce będzie na trzech czwartych nieboskłonu. Pan magazynier splunie potem i zachlaśnie wrociska na tę wielgachną kłódę. Fajrant. Do domu. Ty też. Cały dzień poszedł na zatrąte. Żal ci tego dnia. No to pokrzepienie serc z sąsiadem nastąpi. Półbasik strzelono. I w tym fioletowym zmierzchu jedziesz sobie pustą furą do chałupy. Bo widzisz, człowieku, tak sprawa stoi. Już przed laty cukrownia wprowadziła numerki. Takie z datą i ilością dostaw od poszczególnych rolników. Był porządek. Cukrowni zależało na twoich burakach. Kiedy jednak ma ci dać należne za te bu raki wysłodki, to już inna sprawa. Takie ot, naigrywanie z twojego, chłopie, czasu. Przecież leżysz, a w polu ci rośnie, nie? Przeto jedziesz z pustą furą po całym dnu czekania.

Niby jeden obrazek nie świadczy o faktycznym stanie rzeczy? Pewnie, ale będą inne. Muszą być, gdyż następuje coraz silniejsze i bardziej wszechstronne powiązanie gospodarstw z obsługującymi instytucjami i organizacjami. Najczęściej z ge esem. Kontakt z tą instytucją przynosi najwięcej rozczarowań. Tu rzadko w ciągu jednego dnia załatwisz sprawę. Tego rolnika z hrubieszowskiego wkurzyło niemożliwe załatwianie spraw w geesie T. zeszczany. Bo obora się rozwała. Krowa od tych pochłupów listopadowych zapadła na nogi. Nie wstaje. W stajsie leży, podgniwa. A kobieta ma rodzić. Wiosna idzie. Podnieść trza by tę obórkę. Dzię ki Bogu, przydzielono materiał. Idzie chłop do biura. Stoi w kolejce. Wypisali kwit. Idzie z tym kwitem pół kilometra do SOP. Stoi w ogonku do kasy. Godzinę. Wpłacił gotówkę. Teraz jedzie sobie 2 kilometry do magazynu. Stoi do 16.00. I już magazyn nieczynny. No to jutro przyjeździe! Co tam! W polu mu rośnie. Tyle, że krowa zdycha.

A jeden rolnik z powiatu Kutno cztery razy zasuwał po 2 kwintale nawozu. Raz nie było magazyniera. Drugi raz magazyn zamknięty. Rozładowywano wagony. Podczas trzech odwiedzin zabrakło ciężarków do wagi. Jakiś kulturysta parafialny ponoć je zwałdził.

Chłopi powiadają o geesie: „złodziej na szego czasu”. Myślę sobie, że chyba trzeba będzie zakazać sprzedaży telewizorów na wsi. Za dużo, cholera, tych „złodziei!”. Do geesowskich punktów skupu jest nieraz po 10–15 km. Intensywnie produkujący rolnik musi kilkadziesiąt razy odwiedzić taki punkt w ciągu roku. W śróde odstawisz tuczniki. Innych artykułów już nie kupisz. Kasa wypłaca tylko za ży wiec! W czwartek zawieziesz zboże, żeby kupić mieszaninę dla tuczników. Aleś frajer! Nie wypłaca! Po skupie tuczników brakuje w kasie pieniędzy.

Ala do trzech razy sztuka. Tereferel! Przecież pani sprzedawczyni robi sprawozdanie. Będzie urzędować za dwie godziny. A na całym placu furmanki. Konie kopią, gryzą się, kwiczą. Nie, nie rzą. Koń rży tylko z radości. Ludzie klną. Każdemu się spieszy do pracy w polu i obejściu.

Przyczyną marnotrawienia chłopskiego czasu jest nie tylko zła organizacja pracy w geesach. Godne krytyki jest też ubogie zaopatrzenie w artykuły konsumpcyjne, zaniechanie usług dla gospodarstwa domowego i niski poziom kwalifikacji pracowników.

Spróbujmy jednak jeszcze raz sięgnąć po dane mówiące o marnotrawieniu chłopskiego czasu: rozprowadzanie nawozów mineralnych — w całości zaopatrzenia rolnictwa stanowi ono około 20 proc. wartość pochodzenia przemysłowego. Według badań „Agrochemu” przeciętny czas jednej transakcji zakupu nawozów wynosi 6 godzin. Ale bez czasu na dojazd!

„Jeździłem po nawozy sztuczne do Z. Jaki tam tóć! Ludzie biją się. Wyrwują sobie szufle. Pchają się do wagi. Przyjechałem do domu zmordowany i zły”. (bez nawozu — przyp. R. B.).

Nie zawsze są w gospodarstwie pieniądże. Nie każdy rolnik wie, że nawozy może nabyć na kredyt w SOP. Przeto odbywa się najazd geesu w ostatniej chwili. Stąd te kławy i zlorzeczenia. Można wszak było wcześniej kupić. Ale to już nie wina geesu.

Budowanie na wsi napotyka spore trudności. Bo budowanie ogarnęło całą wieś polską. Przeto są trudności w uzyskaniu zezwolenia, odpowiedniego projektu, a przede wszystkim materiałów budowlanych. Rolnik ufa władzom z Banku Rolnego. Zakłada SOP-owską księżeczkę budowlaną. Ma 70 tys. oszczędności. Może

budować. A bogać tam! Przepisy obowiązujące przy zakładaniu księżeczki są waż ne tylko... na papierze. Bo po półrocznym staraniu dostaniesz cement, trochę cegły, pustaki. Chcesz budować piwnicę. Możesz, ale dźwigarów nie dostaniesz. Dru tu na zbrojenia też nie zdobędziesz. Wybieraś się na wycieczki do innych powiatów, nawet województw. Szukaj. Stracisz zdrowie, nerwy, czas. I sporo grosza. Na do jazdy, łapóweczki. Ten, co daje, ten, co bierze — nie przyznaje się.

Kółkowe usługi też kradną czas chłopca. Istnieje niby księżka zamówień. Ale maszyn brak. Więc w najgorętszym okresie snopowiązalka jest rozrywana. Niekiedy bliższemu kumotrowi szybciej się skosi. Chwiejnemu traktorzyście dasz kielich rozmownej, a zbroczy do ciebie. O sobie myślisz, a jego pchasz do szpitala, więzienia, na cmentarz. Traktorzyści różni. Poniekąd namiętni słomy na różnych wysokościach. Nabarloży, koleiny w polu wypruje. I kłósów sporo wgniecie. Poprawiaj człowieku, żaluj, trać czas swój cenny.

Tak traci czas rolnik prawdziwy. A chłopco-robotnik? Niech zamówi młocarnię. Niech się zwolni z pracy i dziesięciu ludzi zwoła do młocki. I niech mu ta maszyna nawali. Wtedy nie tylko ten jeden dzień straty — będzie jeszcze wielkie mordobicie w tym dniu. Albo na weselu, zabawie. Wendetta krwawa na przesie kółka. Sąd, szpital, kicie. A w ogóle to podziwiać chłopco-robotnika. Cud gospodarzy u niego. Bo to jego gospodarstwo istnieje! Tyle, że na żytku, pyrkach pędzone. Chłopco-robotnik ma trochę czasu na sen.

Czy chłop musi, dla przykładu, dźwigać zboże z miejsca na miejsce? Nie musi! W geesie w Oławie wystarczy jeden telefon. I już z Oławy jadą do chłopskich zagród samochody! Przywożą sadzenia, zboże do siewu, nawozy. Zabierają to, co w gospodarstwie do zbycia. Przeto można nie kraść rolnikom czasu. Ten czas, to nasze dobro ogólnonarodowe. Nasz chleb. Trzeba cenę czasu mierzyć na wagę chleba. Miejmy nadzieję, że sytuacja ulegnie radykalnej poprawie. Jestem optymistą, chciałbym więc zakończyć ten wywód z nutką humoru. O'óż w feudalnej Francji mieli chłopci nocne warty. Nad stawami. Żaby bill w łeb, by zbytnim rechem jaś nie pana ze snu jasnego nie wybił. Chciałbym więc wyjaśnić, że takie nocne wartowanie dochowało się i na wsi polskiej. Niedaleko, bo w rawskim powiecie. W tamtejszym rezerwacie leśnym cholernie rozmnożyła się zwierzyna łowna. Wyłaź z lasu za pożywieniem. Na pola. A z odszkodowaniami kiepska sprawa. Przeto lud tamtejszy (męska polowa) ważył w krzewach przez całe noce na przyleśnych polach. Ten skradziony czas też drogi, i jak jeszcze. A w ogóle to wierzyć się nie chce, że u tych Borynów lipieckich, tak sielnie jamorowali. Ale co, sołtys z wójtem wszystko załatwili. A dziś? Chłop się w nocy wyleży w rowie, to mu wszystkie ciagotki przejadą. Dzionki spędzą w geesie, w GRN, banku. Wkurzy się, z kobietą nie chce gadać. A jak się w polu natyra, to już mu całkiem nie do zbytków. Przeto są topole, bocianice, bociany. Dzieci coraz mniej na wsi. Nie to co drzewie! I jak dobrze pójdzie, to przez kradzież chłopskiego czasu zagrozi nam demograficzny niż. Ale wtedy będą już sprawnie działały wszystkie instytucje obsługujące rolnictwo.

ność osobom pozostającym na wolności, przeciw którym toczyło się nie ukończone w chwili ogłoszenia amnestii postępowanie karne, ustawodawca przedsięwziął jednocześnie szereg kroków, które zapobiegają niebezpieczeństwu powrotu na drogę przestępstw osób amnestionowanych. Przede wszystkim więc wyłączył spod amnestii te osoby, które dopuściły się przestępstw o szczerze górnym ładunku niebezpieczeństwa społecznego. Do rzędu tych przestępstw zaliczono w ustawie zbrodnie przewidziane w dekreście z dnia 31.VIII.1944 r. (tzw. dekreście sierpniowym) przewidującym kary za branie udziału w zbrojstwach dokonywanych w okresie okupacji na członkach narodu polskiego, sabotaż i szpiegostwo, zbrojstwo, zgwałcenie, zagarnięcie mienia społecznego, jeżeli wyrządzona przestępstwem szkoda przekroczyła kwotę 100 000 złotych lub jeśli sprawca był organizatorem lub kierującym zagarnięciem mienia społecznego w grupie (bez względu na wysokość szkody), przestępstwa dewizowe oraz celne, jeżeli wartość przedmiotu przestępstwa lub wysokość uszczerbionego cła przekracza 100 000 zł, tzw. płatną protekcję, jeżeli za przestępstwo takie wymierzono karę powyżej jednego roku, przestępstwa drogowe popełnione w stanie nietrzeźwości, jeżeli w ich wyniku nastąpiła śmierć człowieka, ciężkie uszkodzenie ciała, albo ciężki

rozstrój zdrowia. Wyłączono również spod działania ustawy amnestyjnej recydywistów, którzy odbywają karę orzeczoną w rozmiarze powyżej jednego roku pozbawienia wolności. Wyłączeniu podlegają wreszcie przestępstwa o charakterze chuligańskim, chyba że sprawca nie ukończył lat 18, a orzeczona kara nie przekracza 6 miesięcy pozbawienia wolności.

Ten sam prewencyjny cel posiada przepis art. 11 ustawy amnestyjnej stanowiący ostrzeżenie dla osób korzystających z amnestii, by nie powracały na drogę przestępstwa. W razie popełnienia w okresie dwóch lat od darowania kary przestępstwa umyślnego, podobnego do tego, za które kara uległa darowaniu, poprzednio wydane orzeczenie o zastosowaniu amnestii podlega uchyleniu.

W zasadzie darowanie lub łagodzenie odpowiedzialności karnej przewidziane w ustawie amnestyjnej obejmuje te tylko przestępstwa, których sprawcy w momencie wejścia w życie ustawy, tj. w dniu 21 lipca 1969 r., znani byli organom powołanym do ścigania przestępstw. Jednakże w celu umożliwienia normalizacji życia osobom, które popełniły przed tym dniem nie ujawnione jeszcze przestępstwa, w ustawie zawarte są klauzule zawierające możliwości

daleko idących ulg dla sprawców nie wykrytych przestępstw pod warunkiem, że sprawcy do dnia 31 grudnia 1969 r. zgłoszą się do organów ścigania, ujawnią istotne okoliczności sprawy oraz osoby, które z nimi współdziałały w dokonaniu przestępstwa. W stosunku do osób, które zadośćuczynią tym wymaganiom, umarza się postępowanie karne w sprawach o przestępstwa zagrożone karą pozbawienia wolności do lat 5; w sprawach zagrożonych karą surowszą daruje się karę pozbawienia wolności orzeczoną powyżej lat 3 do lat 15. Przepisy ustawy idą tutaj tak daleko, że w szczególnie uzasadnionych przypadkach przewidują nawet możliwość całkowitego darowania kary surowszej od lat 5, jeżeli wniosek o to złożył prokurator. Duże znaczenie ma przy tym fakt, że w stosunku do osób ujawniających się nie mają zastosowania przepisy o wyłączeniach, z wyjątkiem wyłączeń zbrodni przewidzianych w dekreście sierpniowym. Kryminalno-polityczny sens tego przepisu jest jasny. Jak wynika z informacji udzielonych przez Prokuratora Generalnego PRL, z szansy, jaką przepisy te stworzyły dla osób dobrowolnie się zgłaszających, skorzystało w okresie miesiąca po wejściu w życie ustawy amnestyjnej ok. 600 osób ujaw

nijając ponad 700 przypadków przestępnego działania (Życie Warszawy, z 29. VIII.1969, nr 206 P).

Realizacja ustawy amnestyjnej postawiła na porządku dziennym problem pomocy dla osób amnestionowanych. Zapewnienie im natychmiastowej pomocy i umożliwienie jak najszybszego podjęcia pracy stało się nie tylko potrzebą dyktowaną względami humanitarnymi, lecz koniecznością mającą zabezpieczyć przed powrotem na drogę przestępstwa. Włączenie się do pracy stanowi bowiem jeden z ważniejszych środków stabilizacji, który przeciwdziała groźbie recydywy. Główne wytyczne zasad pomocy dla osób amnestionowanych zawarte zostały w piśmie okólnym nr 57 Prezesa Rady Ministrów z dnia 17 lipca 1969 r. Pismo to zobowiązało zakłady pracy do zapewnienia w ramach posiadanych etatów i planów zatrudnienia pracy osobom zwolnionym z zakładów karnych. Skierowania do pracy daje wydział zatrudnienia w ramach zgłoszonych przez zakłady pracy zapotrzebowania na pracowników przede wszystkim w górnictwie, melioracjach, rolnictwie i leśnictwie. Osoby zatrudnione, a otrzymujące wynagrodzenie za pracę z dołu, uzyskały prawo do otrzymania bezpośrednio po przystąpieniu do pracy zaliczki podlegającej następnie spłacie w 6 ratach miesięcznych. Osoby am

nestionowane niezdojne do pracy uzyskały prawo do zasiłków w ramach pomocy społecznej oraz do opieki lekarskiej. W celu czuwania nad sprawnym przeprowadzeniem amnestii, załatwiania spraw z zakresu zatrudnienia oraz włączenia osób amnestionowanych do normalnego życia powołano zespoły do spraw osób amnestionowanych, działające pod przewodnictwem członka prezydium właściwej rady narodowej, z udziałem przedstawicieli sądu, prokuratury, komendy MO, wydziału zatrudnienia, wydziału spraw wewnętrznych oraz ewentualnie członka zakładu karnego, położonego na terenie działania rady narodowej.

Amnestia oraz szereg przepisów wykonawczych do niej wydanych stworzyła wielu osobom realną możliwość stabilizacji społecznej. Czy możliwość ta zostanie wykorzystana? Dotychczasowe doświadczenia płynące z poprzednich amnestii potwierdziły zarówno polityczną, jak i społeczną celowość aktów amnestyjnych. Spodziewać się więc można, że szansa ta nie zostanie zaprzeczona, aczkolwiek pierwsze kroki na wolności dla ludzi, którzy opuścili bramy zakładów karnych nie są łatwe, mimo różnorodnych form pomocy, jaką rozwinięły organa państwowe i społeczne.

JAN WASZCZYŃSKI

KARTKI

ze wspomnień

PERSONALNIKA

Dokończenie

Nie możemy albowiem jej cieleśną doskonałość kompensuje czyli wyrównywa jej niedostatki ortograficzne i gramatyczne. Trzeba być człowiekiem niespełna rozumu, żeby myśleć o zwolnieniu kogoś takiego... Tak wspaniale prezentującą się osobkę — i to oryginalną blondynkę? Istotę z taką przepiękną talią i z prawdziwymi rzęsami? Ach! myślałem, że padnę trupem, gdy mi to zameldowałaś. Wszystkie zagraniczne aktorki i nasze krajowe przedstawiają się przy Dziuni jak pomocnicze fryzjerskie! Gdyby nasze ataszaty kulturalne umiały wykorzystać takie kobiety do celów propagandowych, zrobilibyśmy większy huczek niż Franeuzi z Brygidą Bardot. A ileż dewiz mogłoby wpłynąć, gdyby ją wystawili na konkursie piękności! Ile szumu można by narobić, gdyby ją pokazała za oceanem?

— Nie jestem wielbicielem ekspozycyjni kobiet jak krów — odrzekłem. — Proszę jednak pamiętać, że według obliczeń Instytutu Ekonomicznego przeżywamy w wielu zakładach istnienie objawów utajonego bezrobocia. Gdyby według tych obliczeń uzyskać w naszym zakładzie taką wydajność pracy jak w zakładach przodujących, to na leżałoby zwolnić najmniej czterdzieści procent tych osób, co są opłacane z zysków osiągniętych przez te pozostałe sześćdziesiąt procent wykwalifikowanych pracowników, co wykonują swe powinności zgodnie z zasadami obywatelskiej odpowiedzialności. Utrzymują zaś przy życiu, a nieraz i dostatkach eale szwadrony trutników i żulików. Jestem bombardowany pismami na ten temat. Prasa i radio huczą o tym. Otrzymujemy ponaglenia w tej sprawie. Działajmyz bezwzględnie! Ale ja, panie Komendera, nie zapakuję wdzięków Dziuni do koperty! Nie prześlę ich w odpowiedzi na urgensy. Mogę to zapakować nożki Dziuni w papierek albo folię? Czy jej talie, włosy lub rzęsy? Wyeksponować ją do urzędowego rozznania? Nie mogę! Dlatego albo przerzucam Dziunię do rozcinania kopert, albo wysiadamy ją na zieloną trawkę.

— Takie słasowe ręczyny do rozcinania kopert? Panie Sekwojs, co przez pana mówi? Czy przypadkowo, panie Tadzio, nie przeginasz pan, jak to mówią, paly? Trzymaj się pan faktów terenowych, nie zalecaj od zielonego stolika jak pijany plotu! Coś się pan zaciął, panie Sekwojs?

Zanim zacząłem pracować w tym biurze, zmieniliem swe rodowe nazwisko Cynk-Wajs na Cynk Bieliski. Sześć zależnie od humoru i swych widzim-

się zmieniał je. Na Cynkwajs, Sing Sing-Wajs, Sekwojs i różnie.

Odpowiedziałem szefowi co następuje:

— Panie Komendera! Wzorowa pracownica, a więc odpowiednio wykwalifikowana i należyście robotna, może mieć nożki toporne jak słupy kilometrowe. Jej talia może przypominać talie kart. Nie mnie nie obchodzi, czy jej czeska biżuteria trzeszczy podczas chodzenia jak szkło, czy dzwoni jak janczary petersburskich saneczek albo uprząż krakowska. Czy jej gliniane naszyjniki i manele klekocą podczas chodzenia jak bociany, jak to klekoce i trzeszczy biżuteria naszej Dziuni... Ale gdy tę wzorową pracownicę, i skromną, która nie ma żadnych flu-będzi w głowie, lecz czysty, poważny olej, posadzą przy maszynie do pisania, to wiem, że ta istota będzie działać jak karabin maszynowy. I gdy się do niej odezwę, to wiem, że do zrozumienia moich poleceń nie będzie musiała posilkować się encyklopedią techniczną albo poradnictwem osób trzecich. I wykona swe działania dziesięć razy szybciej od sześciu Dziuń. Żeby nawet każda z nich miała po dwa piękne biusty z przodu i z tyłu.

— To prawda — jęknął szef. Względnie estetyczne nieraz pomagają w produkcji, ale częściej jej przeszkadzają. Ale czy ja wiem... Szkoda, że nie może pan ujrzeć Dziuni w penituarce domowej roboty, albo w kostiumie kąpielowym. Cała nasza lewa oficyna lepię pracuje, gdy Dziunia czesze się lub przeciąga. Ale są tacy, co utrzymują, że jej postać działa na nich odstręcająco. A nawet odrażająco. Sam nie wiem, jak wybrnąć z tej sytuacji. Kierownik działu C w oficynie prawej twierdzi, że jego wskaźnik produktywny byłby znacznie niższy, gdyby Dziunia miała krótszy nos. Urodna kobieta to jest kobieta, panie kolego. Ni by nic, ale przecież dużo. W próbówce się takie nie rodzą! A jak ona poziewa lub złości się! Nie słyszałem o drugiej sekretarce, żeby się umiała tak pięknie złościć. Trzeba się umieć ładnie złościć! A jak wyrznie o podlogę plikiem brudnopisów, to można go dzinami patrzeć przez dziurkę od kłucza i zrywać boki ze śmiechu! Słuchaj! Jej zrywań i pękających z takim ona wdziękiem to robi. A jak rżnie skoro szytem o podlogę, taki leniuch, to wszystkie jej koleżanki dostają paroksyzmów śmiechu. Można być leniem, ale trzeba umieć nim być z wdziękiem. Złodziejem też można być z wdziękiem — pomyślałem. — Mało to takich, co wyglądają jak aniołki, a wewnątrz diały jakich małot?

Już mnie zaczął złościć ten stary erotoman czy co? Bo jak go inaczej można nazwać? Rąbnąłem więc ostro:

— A zatem co?

— Co zatem? — zapytał wytrzeszczając ślepią.

— Kiedy zawiadomimy Dziunię o decyzyji?

Komendera zapadł się w siebie. Z kołnierza sutej marynarki wystawały tylko jego olbrzymie, przeźrocyste uszy oraz cienione krzaczaste brwi.

— Panie Tadeuszu — rzekł nie patrząc na mnie.

— Co, panie szefie Komendera?

— Czy nigdy nie dotknąłeś pan zgrabnej istoty? Nie cmoknąłeś jej w rączkę? Nie zafrwala ci obok nosa szeleszcząca taftowa spódniczka? Nie uszczypnąłeś nigdy takiej istotki ot, tak tylko dla figlów... w paluszek?

— Panie szefie, jestem człowiekiem złożonym i dzieciętym.

— Ja też nim jestem. A więc uszczypnąłeś czy nie?

— Panie szefie — obruszyłem się. — Mnie szczypanie nie w głowie. Jestem szczęśliwy, gdy poszczypię sobie trochę grahamka do kawy albo trawy dla mego królika. Ja w życiu nie uszczypałem własnej żony. Po co ją miałem szczypać? Winna mi co, żeby ją szczypał?

Szef pociągnął w dół polity marynarki, po czym zaczął chodźć po pokoju tam i z powrotem, skrzypiąc butami. Wreszcie wyciągnął spod skoroszytów fotografię Dziuni i podsunął mi ją przed oczy.

— Zobacz, kogo chcesz skrzywdzić. Ale się uwziąłeś na tę sierotkę. Zobacz, kogo chcesz zwolnić... Tę słodką, niewinną buzię. Te blond kędziorki, które nie zasnęły innego narzędzia fryzjerskiego poza nożyczkami i grzeblinami? Tę szyjkę, te ramionka, które są chlubą naszego żeńskiego personelu? I to wszystko ma być zniweczone? Ale dlaczego ma być zniweczone, ja się pytam. Dlatego, że pan nie znalazł tego, co nazywamy towarzysztwem miłej oku osobki? Ale jeśli nie znalazł, to ja ci to umożliwię. Upo ważnie Dziunię, by przyjęła cię w mym imieniu. Pozwoliła się poszczypać. Za raz ją telefonicznie do tego przysposobię. Ale czekaj! Przedtem zrobię ci prysznic — tu Komendera puścił w stronę mej osoby chmurę kolońskiej wody, po czym zgromił mnie: — Idź, stary bałwanie! Przekonaj się! A dopiero potem mówmy o przeszerogowaniach.

Wtedy jeszcze nie rozumiałem Komendery. Wiadomo było, że nie go konkretnego z sekretarką nie łączyło. Miał przecież czterech synów dryblasów i trzy córki, mężatki. Dawno prze stał odprowadzać wzrokiem każdą przy stojniejszą kobietę. Rad nierad, trochę dlatego, żeby zadośćuczynić życzeniu szefa, trochę z ciekawości, a trochę też pod wpływem owych laskotek, jakie odczuwamy wobec wszystkie go, co jeszcze niewiadome, a dopiero ma się stać wiadome, udalem się do Dziuni. Była sama. Jej koleżanki wyszły do banku.

Jeszcze nie otwarłem ust, a ona:

— Wiem. Chcę mnie pan zwolnić bądź przeszerogować. Bo rzekomo nie mam pełnego wykształcenia podstawowego. Ale zależy co nazywamy wy-

kształceniem podstawowym. Jeśli idzie o pełne wykształcenie podstawowe, to takie mam.

To rzekłszy obróciła się na pięcie, upozowała się jak modelka na pokazie mód i zaczęła odczytywać z mej twarzy wrażenie, jakie sprawiała.

— Zgadza się? — zapytała.

Ponieważ nie odpowiedziałem, podciągnęła trochę spódniczkę, pokazała kolanek, ale takie jakieś inne, przylepne, że od razu stałem się onieśmielony. Jeszcze bardziej onieśmielony, gdy paluszkami z metaloplastycznym pierścieniem, puknęła się w kolanko a później ponad nie. Wtedy jeszcze nie były w modzie dziecięce spódniczki dla dorosłych pań. Elektryka podudzia silnie działała.

— Więcej stara glapo? — rzekła bezceremonialnie. — Podobna ci się taka nóżka czy nie?

Nic nie odpowiedziałem.

Ponieważ milczałem, przyciągnęła mą rękę do kolana i parsknęła śmiechem.

— Co się ociągasz, gawronie? Bądź godnym miana nowożytnego człowieka. Dotknij! Przecież kolano nie kasa. Co wglapiasz się w podłogę i milczysz? Uszczypnij!

Nic nie miałem innego na myśl, jak tylko pomówić z nią. To, co Komendera mówił o szczypaniu, uważałem za żart. Komendera lubił figle. A zresztą czy mogłem być pewny, że nie wiąże go z Dziunią coś więcej niż po dziw i życiowości? Mógł się przecież, faryzeusz, maskować.

Byłem w kłopotliwej sytuacji.

Ale ona przybliżyła do mnie swe bioderko i zaczęła mnie zachęcać:

— No, szczypl! Czemu nie szczypiesz?

— To powiedziawszy dmuchnęła w mech mej łysin.

— Ciemiączko masz różowe jak pisikę. Pachniesz wodą kolońską tego starego glupca Komendery.

— Nie można tak mówić o szefie. On zresztą jest za panią.

— Za mną? To dlaczego mi błędy wypomina?

— Wypomina, bo musi. Bo od tego jest, żeby wypominał. Góra też pisma wysyła, a na pewno się jej nieraz serce kraje, gdy musi być bezwzględna.

— Ty jesteś służbista — tu uszczypnęła mnie w ucho. — Pozwól, że cię cmoknę w głazę. Od tego cię nie ubędzie. — Cmoknąwszy otarła chusteczką usta, po czym dodała:

— Wiesz, krokodylu, kmiocie spod Warszawy... Bo na pewno jesteś warszawiak, skoroś śmiały... No, wiesz?

— Co mam wiedzieć?

— Twoja żona o ciebie nie dba?

— Dlaczego nie dba?

— Dlatego, że ja na jej miejscu, to bym ci kazała nosić perukę.

— Perukę?

— Tak, perukę. Peruki teraz i odne. Ale skoro przekonałeś się o noim tyłu'.

JACEK BIEREZIN

Teraz już ujrzę...

Ewie

Teraz już ujrzę tamtą stronę ognia dotąd niepełny z gruda u powieki tak mało kocham pozostając sobą tak dużo mówiąc kiedy mówię „kocham”

Jesteś jedynym i już bliskim progłem każdym milczeniem mówiąc tylko dla mnie a jest to język zapomnianych znaczeń który zakłada jedną tylko prawdę

Powiedz co bywa bywa nieprzerwane nocne odloty ziemi ciągly upał żył nie korzystając z daru zapomnienia zawsze po raz pierwszy wieszaj w oknie świt

Powiedz co bywa bywa nieskończone i choć wiara ta zbędna żeby umieć przeżyć jeszcze nieśmiało z wyroku nadziel — wierzę — żyjemy by od nowa wierzyć

1969

kształceniem podstawowym. Jeśli idzie o pełne wykształcenie podstawowe, to takie mam.

To rzekłszy obróciła się na pięcie, upozowała się jak modelka na pokazie mód i zaczęła odczytywać z mej twarzy wrażenie, jakie sprawiała.

— Zgadza się? — zapytała.

Ponieważ nie odpowiedziałem, podciągnęła trochę spódniczkę, pokazała kolanek, ale takie jakieś inne, przylepne, że od razu stałem się onieśmielony. Jeszcze bardziej onieśmielony, gdy paluszkami z metaloplastycznym pierścieniem, puknęła się w kolanko a później ponad nie. Wtedy jeszcze nie były w modzie dziecięce spódniczki dla dorosłych pań. Elektryka podudzia silnie działała.

— Więcej stara glapo? — rzekła bezceremonialnie. — Podobna ci się taka nóżka czy nie?

Nic nie odpowiedziałem.

Ponieważ milczałem, przyciągnęła mą rękę do kolana i parsknęła śmiechem.

— Co się ociągasz, gawronie? Bądź godnym miana nowożytnego człowieka. Dotknij! Przecież kolano nie kasa. Co wglapiasz się w podłogę i milczysz? Uszczypnij!

Nic nie miałem innego na myśl, jak tylko pomówić z nią. To, co Komendera mówił o szczypaniu, uważałem za żart. Komendera lubił figle. A zresztą czy mogłem być pewny, że nie wiąże go z Dziunią coś więcej niż po dziw i życiowości? Mógł się przecież, faryzeusz, maskować.

Byłem w kłopotliwej sytuacji.

Ale ona przybliżyła do mnie swe bioderko i zaczęła mnie zachęcać:

— No, szczypl! Czemu nie szczypiesz?

— To powiedziawszy dmuchnęła w mech mej łysin.

— Ciemiączko masz różowe jak pisikę. Pachniesz wodą kolońską tego starego glupca Komendery.

— Nie można tak mówić o szefie. On zresztą jest za panią.

— Za mną? To dlaczego mi błędy wypomina?

— Wypomina, bo musi. Bo od tego jest, żeby wypominał. Góra też pisma wysyła, a na pewno się jej nieraz serce kraje, gdy musi być bezwzględna.

— Ty jesteś służbista — tu uszczypnęła mnie w ucho. — Pozwól, że cię cmoknę w głazę. Od tego cię nie ubędzie. — Cmoknąwszy otarła chusteczką usta, po czym dodała:

— Wiesz, krokodylu, kmiocie spod Warszawy... Bo na pewno jesteś warszawiak, skoroś śmiały... No, wiesz?

— Co mam wiedzieć?

— Twoja żona o ciebie nie dba?

— Dlaczego nie dba?

— Dlatego, że ja na jej miejscu, to bym ci kazała nosić perukę.

— Perukę?

— Tak, perukę. Peruki teraz i odne. Ale skoro przekonałeś się o noim tyłu'.

wykształceniu podstawowym, to trzeba żebyś zobaczył moją małą maturę... Chcesz spotkać się z mną przy basenie?

— Chcę — rzekłem po chwili namysłu.

— To zobaczysz ile mam w talii — to powiedziawszy przytuliła się do mnie, po czym westchnęła. Jesteście niedobre ludzie. A co ja winna, że mi nauka do głowy nie idzie? Ale mówmy po sprawiedliwości: jeśli zakład stać na utrzymanie sześciu sportowców, którzy nic nie robią, bo ciągle mają wybiegi sportowe, to was na jedną sztywną kobietę nie stać? Nie odpowiedziałem. Bo co miałem odpowiedzieć?

— Wszystko omówię z szefem. A on, wiadomo, trzyma z tobą.

— No to jeżeli tak, to poczekaj, giębie!

To rzekłszy, zrzucała z siebie sukienkę, cisnęła mi ją, żebym chwycił w powietrze i ukazała się moim oczom w samej haleczce z koronkami.

— Więcej jak? — zapytała, krzyżując rękę jak atleta, żeby bardziej był widoczny jej biust. — Chcesz się spotkać z mną na basenie?

Chciałem się spotkać. I spotkałem się. Patrząc na jej bioderka, przelewające w słońcu jak ciasto marcepanowe utwardzone czekoladą, na jej szyjkę, ramionka, pomyślałem: Musimy ją zostawić. Tak nie można postępować.

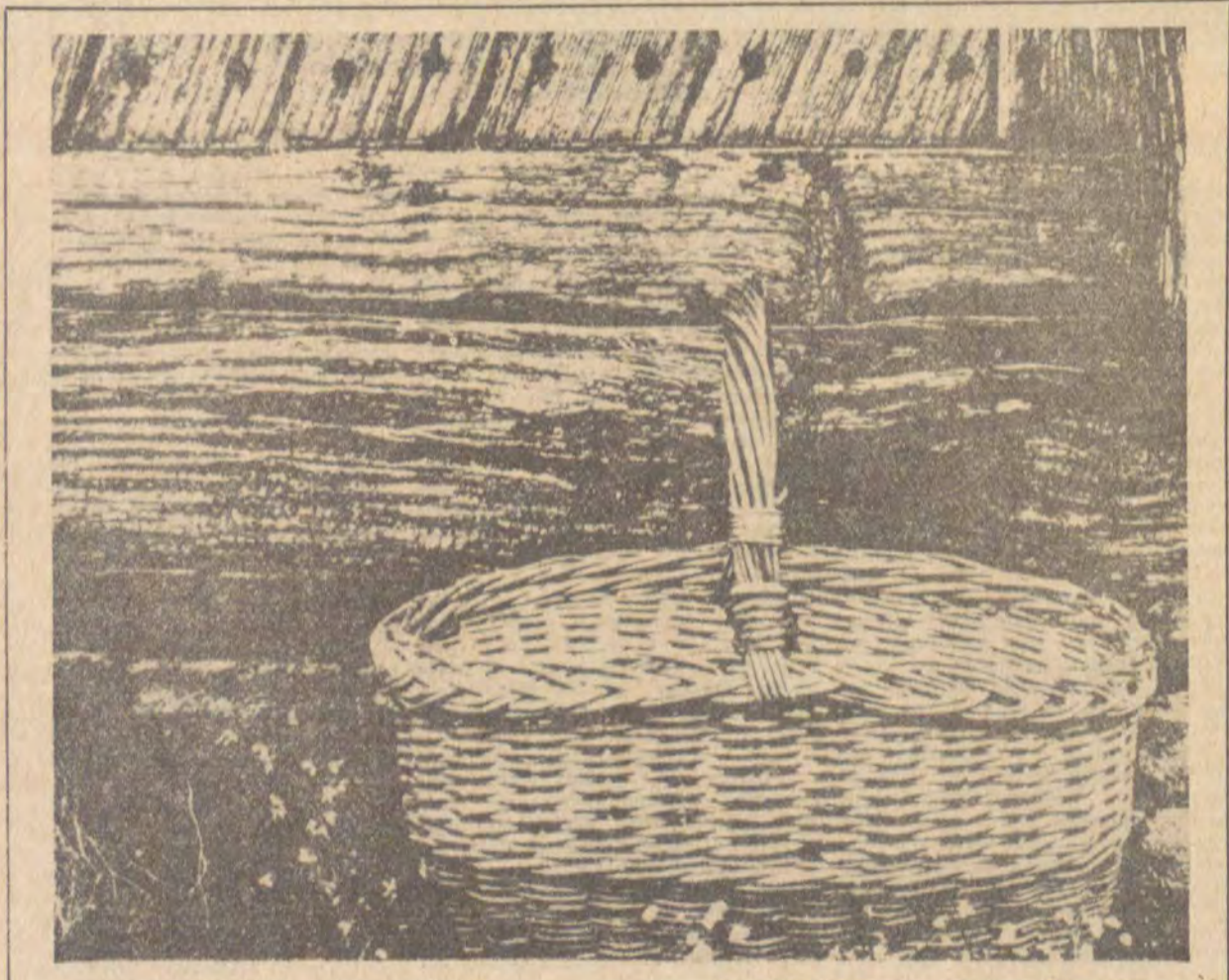
Ona nie ma wiedzy, ale ma inteligencję wdzięków. To też jest coś, chociaż tym się fabryki nie zbuduje... zabrać winniśmy się do Poradęko Aldo ny, potem Gubałowicz Krystyny, następnie tej... małpy, Klaryssy Kachetyńskiej. One tak lubią krytykować. I żeby choć słuszenie... Ale na basen trzeba wystać po kole przedstawieli rady zakładowej. Niech się osobiście przekonają, że nie można wyrzucić krzywdy tak wspaniale zbudowanej istoty jak Dziunia.

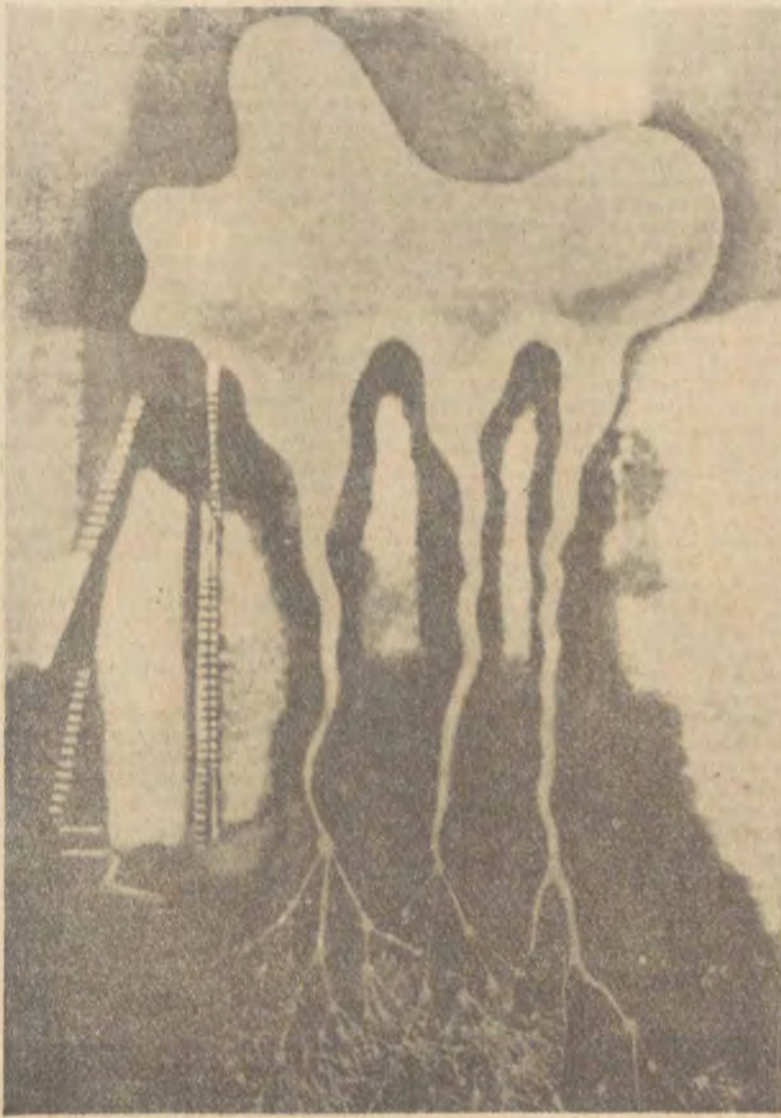
Gdy to oznajmiłem Komenderze, szef grzmotnął pięścią w biurko.

— Tak jest — zawołał. — Niech zobaczą jej egzamin dojrzałości, magisteriat, a może też, ho, ho, kto to wie... Może doktorat, lub, pal diabli, już sam nie wiem co! Niech płynne życie, nie twarde martwy przepis dokona właściwego przetasowania, panie tego. Panie Sęk-wojs, czyli sęk pana wie, po co poszedłeś na basen.

To rzekłszy Komendera nawinął koniec lewego wąsa na palec, potem koniec prawego, i tupnął, mrużąc do mnie lewe oko, a potem prawe. A następnie piasnął dłoń w mą łysinę i poczęstował mnie cygarkiem kubańskim, grubym jak kolba kukurydzy.

(Z drukowanego przez Wydawnictwo Łódzkie zbioru pastiszów, karykatur, aforyzmów i humoresek „Twarzą do tyłu”).





Karol Hiller

„Zagłębie” 1933

Karol Hiller

W 30-lecie śmierci

Z perspektywy lat można opowiadać z serdecznym sentymentem o ludziach, którzy podjęli hasło walki z przestarzałymi normami, kryteriami artystycznymi. Wiele wysiłku włożyli w budowę nowej sztuki, jej kształt dnia dzisiejszego. Ludzi tych nie było wielu w pierwszym trzydziestolecu XX wieku. Przyjęta na ogół przez historyków sztuki hierarchia indywidualności, dająca wielkie usługi przy porządkowaniu skomplikowanej rzeczywistości oraz oceny sztuki nowoczesnej, zwraca tylko uwagę na jaskrawo występujące w Polsce zjawiska artystyczne: „formizm” — Czyżewski, „konstruktywizm” — Szczyka, „unizm” — Strzeżewski, „mechanofaktura” — Berlew, „abstrakcja geometryczna” — Stażewski. W stanie izolacji pozostała jedynie twórczość Hillera. Metaforysta, pionier „abstrakcji organicznej” ekspresjonista — nie był nigdy widziany na piedestał. Choć „zdyktansował wszystkich”, nie miał szczególnej do historii. Cokolwiek by się rzekło o nim, zawsze należy pamiętać, że ma się do czynienia ze zjawiskiem tragicznie przerwany, z malarzem, który nie osiągnął zapewne szczytu swoich możliwości artystycznych, z malarzem

z tych dni, a nawet znalazł wyraz w wielu artykułach i literaturze, to jednak dopiero łódzka retrospektywna wystawa dzieł i życia z powodzeniem pokusiła się o odtworzenie klimatu ideowego i genezy artystycznej.

Z tych fragmentów, jakie pozostawił po sobie można odczytać główne kierunki ewolucji i określić jego wysoką pozycję w nurcie awangardowej sztuki lat międzywojennych. Trudno nam wyrokować, jakie były rzeczywiście dalsze losy ewolucji estetycznej malarza. Najbardziej prawdopodobne, że jego talent zdystansowałby chyba niejedno jeszcze pokolenie artystów, że związałby się on jeszcze silniej z ludźmi.

Niezwykła żywotność w malarstwie dwudziestolecia, zdobyci futuryzmu i tendencji kubistycznych, popularyzowanych u nas — jak wiadomo — przez grupę artystyczną „Formistów”, odbiła się na wczesnych poszukiwaniach kolorystycznych i kompozycyjnych młodego malarza, prowadząc od obrazów „Tkacz” (1922), „Strażak Józef Bibel” (1926 — oba w. Władysława Hillera, Muzeum K. Opola), „Pejzaż z Zakopanego” (1927 — w. Wanda Czerwińska, Łódź) do osiągnięcia w grafice — linorytach i litografiach (np. sześć litografii wydanych w r. 1926 wraz z wierszami W. Wandurskiego „Sadze i złoto”, ołki dla wydawnictwa: L. Fischera, Łódź 1924—25, „Renaissance” 1929—38 oraz lewicowego czasopisma „Dźwignia” 1928), szczególnie zaś w ekslibrisach, gdzie stał się wirtuoziem syntetycznego myślenia. Za właściwy, uderzeniowy debiut Hillera uważałbym właśnie ów zbiór ekslibrisów wydany w r. 1927, który przyniósł autorowi prestiż artystyczny i rozgłos międzynarodowy. W następnym bowiem roku zaproszono Hillera do wzięcia udziału w światowej wystawie ekslibrisów w Los Angeles.

Warsztat plastyczny Karola Hillera w pierwszej fazie do roku 1928 kształtowały dość różnorodne tendencje estetyczne. Z Kijowa do Polski powrócił w r. 1921 podekscytowany malarstwem, technologią bizantyjskiej sztuki.

W kolejnych próbach malarskich notujemy przede wszystkim rozległą znajomość wszystkich najnowszymi kierunkami sztuki. Odnajdujemy ślady modernistycznych koncepcji, skłonności do kubizmu do konstruktywizmu, ślady ekspresjonistycznej kondensacji obrazu. Hiller zaczyna wyrażać sobie przepustkę do plejady awangardistów w świecie malarskim. W węglach, rysunkach i temperach spłacał Hiller dług zaciągnięty wobec młodzieńczych tęsknot chemicznych, pasji architekta oraz inspiracji opiekunów i nauczycieli, m. in. Michała Bojczaka, którego doświadczenia w kuchni malarskiej ikon w klasztorze na górze Athos wywarły niewypowiedziany wrokowo-doznaniowy wpływ i praktyczne znaczenie.

Szybko porzucił eksperymenty z czystą techniką olejną, traktując ją dalej jako „malarstwo wypoczynkowe”, całą zaś uwagę skupił na mieszaniną technik i tworzył: olej-złoto, kredka lawowa na sepiu, gwasz, tempera-złoto, na papierze, teksturze i ulubionym drewnie. Przelomowy w tym względzie był rok 1928, kiedy to przystąpił do zapisu napięć, emocji w kompozycjach konstruktywistycznych. Powstają wtedy: „Kompozycja ze spiralą”, „Kompozycja 0” (oba obrazy — 1928 r. — w. Muzeum Sztuki w Łodzi). Od tam trwał konsekwentnie doświadczenie warsztatu artysty, poszukiwanie możliwie najoryginalniejszych środków wyrazu w imię szeroko pojętego eksperymentu i zaangażowania („Kompozycja” 1929, „Kształty kobiece” — 1930, „Kompozycja 204 A” — 1932 — wszystkie w. Muzeum Sztuki w Łodzi). Przede wszystkim — dążenie duchowe, chęć eksperymentowania za wszelką ce-

nie, kształtuje bezpośrednio to nastawienie. Jego kwintesencja zawiera się w stosunku artysty do przestrzeni, w zainteresowaniu konstrukcją form jak i dociekaniami zjawisk biologicznych, ruchu materii („Embrion” 1933 — w. Muzeum Sztuki w Łodzi).

EKSPRESJONIZM

W konsekwencji sztuka Hillera rodzi się logicznie ze swej poprzedniczki — tradycji. Wyraz dzieł staje się coraz bardziej pełny, coraz bardziej jednoznaczny. Postępuje drogą eliminacji literatury z obrazu, ale nie zubożenia treści.

Proces odcinania przebiega równolegle do procesu dodawania. „Od „kubizmu” — „konstruktywizmu” — „ekspresjonizmu” — „surrealizmu” — „abstrakcji metaforycznej” — formy mniej precyzyjne, czasem wręcz przypadkowe, konsekwentnie zastępowane są przez inne, doskonalsze. Szereg obrazów z 1930—34 r. demonstrujących całą gamę poszukiwań — tempery, gdzieś przepaść. Za to ów rozwój z powodzeniem mogą odzwierciedlić rysunki-koncepcje i rysunki-dokumentacje realizowanych dzieł. Pod tym względem pozycja Hillera jest prekursorska, samodzielna i oryginalna. Nie był nigdy eklektyczny, nie przyjmował bez sprawdzenia i nie porzucał bez przyczyny jednego koncepcji dla drugiej. Był człowiekiem z samego środka Łodzi i na domiar bliski owego punktu, nie oznaczonego wtedy na żadnej z map szkół artystycznych, przez który przebiegała jego własna indywidualność.

Ekspresjonizm, który po raz pierwszy Karol Hiller ujął w koncepcji „abstrakcji organicznej” — to tylko najjaskrawszy przykład autonomicznego rozumienia rzeczywistości. Ujawnia się on aż nadto widocznie w temperach lat 1933—1934, w wyborze i układzie środków w raz artystycznego, w uformowaniu atmosfery, we właściwościach psychicznych i poglądach autora: „Malarstwo jest zarówno formą ekspresji indywidualnej, monologiem jednostki lub jej dialogiem z narodem i naturą”.

Pesymizm Hillera wynikał z indywidualnych doświadczeń i ze współczesnej sytuacji społeczno-politycznej. W sytuacji, kiedy narodowe hasła z chwilą odzyskania niepodległości uległy dezaktualizacji, a nowa rzeczywistość okazała się nieznośna, Hiller zdobywał się na głos protestu. Tworzy swoiste malarstwo gestu, ale wyrażające — nie spontanicznie — kształtowania się rzucanej malarzkiej materii, spontanicznych nie kontrolowanych ani intelektualnie, ani formalnie środków ekspresji — lecz przekonanie o suwerennej władzy twórcy w stworzonym przez siebie świecie fikcji malarskiej, która ustępuje w ostatecznej percepcji wobec wagi poznawczych i ideowych ambicji Hillera tłumaczącego językiem materii sens kapitalistycznego świata i dziejów robotnika, Hiller śledzi ponadindywidualne prawdy ukryte w chaosie zdarzeń i kryzysu tamtych lat.

Ostatnim obrazem: „Walka”, „Robotnicy”, „Na krzyż” (wszystkie 1938 r. — w. Muzeum Sztuki w Łodzi) nie brak cech ekspresjonizmu. Hiller włożył w nie całą swą energię i namietność, zdobywał się na ton nie spotykany w polskim malarstwie. W ten sposób manifestował swoją sympatię do ludzi prostych, do łódzkich robotników. Zajmował czynną postawę wobec groźby dehumanizacji człowieka.

CZŁOWIEK

Wróćmy raz jeszcze do historii. W działalności Karola Hillera był jeden ważki moment — problem społeczny. Ta postawa w latach międzywojennych nie należała do najoczywistszych. Dowodziła odwagi, jak i bezkompromisowej re-

zygnacji z wszelkich uroków łatwej artystycznej popularności. Postawienie wszystkiego na jedną kartę, której siłą jest wyłącznie wiara we własne możliwości i słuszność obranej drogi: służby społeczeństwu za wszelką cenę. Przekonanie to towarzyszyło Hillerowi niemal od zaciągnięcia samodzielnej pracy, nim jeszcze nadarzyła się sposobność oficjalnego niejako wyrażenia swego światopoglądu i stosunku do innych postaw twórczych. Odrębność podkreśla tu wyraźnie obiektywna analiza wczesnej twórczości i jego współpracy z Witoldem Wandurskim. O ile bowiem w warstwie biograficznej jego wiedza malarska odbiega od zakresu doznań Wandurskiego — poety, to w warstwie światopoglądowej stanowi wyraźną zbieżność. Walka o nową problematykę w malarstwie, o rewolucję wyobraźni, związana była u Hillera organicznie z ideą rewolucji społecznej, marzeniem o nowoczesnej cywilizacji służącej społeczeństwu równych i wolnych ludzi. Twórczość: projekty scenograficzne, współpraca ze Sceną Robotniczą, ołki, rysunki, grafika poruszająca tematykę polityczną, ilustracje do książek (np. Józef Litwin — Muncypalne Fabryki Włókiennicze Dawnej Łodzi; Łódź 1932), malarstwo — ukazuje z pełną wyrazistością ów żywiolowy i logiczny związek rzeczywistości ówczesnego życia z ekspresyjną sztuką Karola Hillera.

Drugim przejawem jego postępowego humanizmu — również cechą malarzy ekspresjonistów — jest działalność polityczna, akcje w ramach przynależności do Klubu Demokratycznego, od r. 1938 Stronnictwa Demokratycznego. Bez względu na konsekwencje natury osobistej bierze udział w pochodach manifestacyjnych, antyfaszystowskich Jednolitego Frontu Walki. W jego mieszkaniu przy ulicy Srebrzyńskiej zbierają się działacze komunistyczni, jak np. Franciszek Kusto czy Zenon Klisako (w 1933 r. redagował łódzką „Kronikę Tygodniową”, wydawaną jako pismo legalne przez KPP). Ta działalność, niejako konspiracyjna, funkcja łącznika, wykonywanie dekoracji do sal zebrań robotniczych, afiszów agitacyjnych i protestacyjnych (np. przeciw wojnie domowej w Hiszpanii), rycin litograficznych i heliograficznych (kompozycje heliograficzne: XV — 1937, XXVII — 1938, XXXII, XXXV, XXXVIII — ok. 1939 r.), malowanie transparentów — zakończyła się epitofem więziennym zaraz po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Łodzi. Aresztowano wówczas kilkudziesięciu, a osadzono i skazano kilkunastu ludzi o znanych w Łodzi nazwiskach (m. in.: dr Margolis, red. Stanisław Rachwałewski, dr A. Grabowski, prof. Wincenty Tomaszewicz, mjr Kowalczyk, inż. Wacław Wojewódzki) pod zarzutem współpracy z komunistycznymi organizacjami oraz uprawianie antyniemieckiej działalności w szeregach łódzkiej lewicy. Nie udało się ustalić, kiedy został rozstrzelany w lasach kiedzierskich. Wiadomo, że w przededniu okropnej pacyfikacji hitlerowskiej r. 1939; zginęły jego żona i córka i żony Jądwiły z obozu koncentracyjnego zlokalizowanego w fabryce Glazera. Oświadczył on wtedy rodzinie, że śmierć byłaby w jego przypadku niemoralna. Idzie jak prorok w paszeczce hitlerowskiego potwora aresztowany przez Gestapo. Hiller — eks-Niemiec, rehabilituje miniaturą rodzinnej społeczności cierpiącej na niemożność działania, biernie poddającej się złu.

Jego głos stanowi wówczas akcent wielkiego optymizmu, uspołecznionego protestu.

ELŻBIETA LUKASIEWICZ

prawd odwiecznych postać nowa

Nazwisko Mirosława Mentela niedawno pojawiło się na konkursowej giełdzie artystycznej. Debiut młodego grafika odbył się zaledwie dwa lata temu, gdy w kwietniu 1967 roku otrzymał medal za zestaw swych prac. Był to rok dla 25-letniego wówczas artysty niezwykle pomyślny i niejako przełomowy: w tym czasie otrzymał pierwszą nagrodę i wyróżnienie

w dorocznym konkursie okręgowym na grafikę techniczną i sztukę użytkową, a wkrótce potem wyróżnienie w konkursie na obraz, rzeźbę i rysunek. Start krótki i efektowny, bowiem pierwsze już uczestnictwa w imprezach konkursowych przyniosły zasłużone sukcesy. W poszukiwaniu właściwych środków ekspresji,

Mentel interesował się całym bogactwem możliwości warsztatu graficznego; podejmował próby linorytnicze i litograficzne, aż skoncentrował się na technice akwa fortowej. Ona najbardziej odpowiadała typowi jego wyobraźni twórczej. W swej twórczości Mentel podejmuje tematykę filozoficzną, dotyczącą zagadnień egzystencjalnych człowieka. Jest to nurt grafiki refleksyjnej, w której dominuje nastrojowa kontemplacja, „programowej” niejako melancholii. W „Obcesji”, „Refleksji”, „Ucieczce” czy „Degeneracjach” refrenowo powtarzają się motywy związane z przemijaniem czasu („czas jest naszym zabójcą”), dramatem istnienia, komplikacjami natury ontologicznej i etycznej. Jest to twór-

czość na wskroś antropocentryczna, rodzaj „seansów egzystencjalnych”, które opowiadają o przeżyciach i rozterkach ludzkich. Zagadnienia, interesujące Mentela nie są oczywiście nowe, a konstatacje mało odkrywcze — jest to bowiem kategoria prawd wiecznych, odkrywanych przez człowieka odkąd posiadał świadomość rozgrywiających się wokół niego procesów. To twórczość, którą nazwać by można „humanizmem rozczarowanym” światopogląd ludzi dojrzałych, świadomych całego bogactwa mechanizmów i determinant życiowych. Grafika Mentela ma charakter wizjonerski, o du-

żym napięciu emocjonalnym. Dominuje w niej typ skojarzeń, zaczerpnięty z konwencji surrealistycznej. Wśród całego szeregu prac szczególne wrażenie robi utwór pt. „Ostatni portret”, akwaforta z 1966 r. Uderza w niej bujność i bogactwo linii — płaszczyzna przypomina dekoracyjną tkaninę z plam i kresek, z której wyłaniają się metaforycznie ujęte treści. Poetycka metafora jest u Mentela świadomym środkiem artystycznego wyrazu. Prace jego pozostawiają szeroki margines dla wrażliwości estetycznej i operatywności intelektualnej widza: trudno je biernie kontemplować, semantyka znaków, czerpanych z natury,

symboliki tradycyjnej i poetyckiej metafory, wymaga od nas postawy aktywnej w percepcji utworu. Artysta dąży do biegnącej i doskonałości formalnej, aby móc uchwycić i pokazać najczystszy kształt przeżycia. W tej chwili obserwujemy klasyczny równowagę między zawartością treściową, a stroną wyrazową utworów. Lecz finezyjna kreska znakomunie szczególne predykcje do nadmiernej dekoracyjności — płaszczyzna utworu przypomina rozedrganą, wibrującą arabeskę. Istotne wydaje się więc, aby młody artysta nie dał się uwieść pokusom technicznej doskonałości, nie uległ magii warsztatu, nie pozwolił opamiętać się kultowi materiału.

W polskim CAEN

Miałem jechać pociągiem odchodzącym ponoć o 13.15, ale takiego w ogóle nie ma. Pewnie kiedyś był. W rozkładzie jazdy czytam wyraźnie: ekspres do Cherbourg przez Mantes - Evreux - Lisieux - Caen - odjazd o 13.30. Dziś jednak on nie idzie. Są za to dwa pociągi odchodzące o godzinie 14.07. Niech i tak będzie. W prawym końcu dworca, przy stanowisku 25, spora gromada ludzi. Nieco mężczyźni w mundurach. Jeszcze nie wpuszczają na peron.

Drogę do Caen przebyliśmy w niecałe trzy godziny. Wraz z nami wysiada chyba z pół pociągu. Peron powoli pustoszeje.

Dopiero w drugim hotelu znalazł się pokój. Mój gospodarz - pan Jean Lepoivre - sekretarz lokalnego oddziału Stowarzyszenia „Francia - Polska” proponuje kawiarnię. W eleganckiej sali na pięterku rozwiązują się języki. Poznaje małżonkę gospodarza i młodego człowieka z jakiejś organizacji oświatowej, której nazwy nie pamiętam, a z którą Sto

warzyszenie współpracuje. Rozmowa toczy się wartko. Wspólnie narzekamy na postępującą amerykańzację stylu życia we Francji. Państwo Lepoivre odwiedził niedawno nasz kraj - więc wspominałki z Krakowa i Zakopanego, z Katowic i Warszawy. Dyskusja o literaturze, filmie, muzyce polskiej. Pan Lepoivre, który jest bezinteresownym a fanatycznym miłośnikiem wszystkiego co polskie, bardzo boleje nad trudnościami, jakich nastroża Francuzowi nasz język i narzeka na stosunkowo niewielką ilość przekładów literatury polskiej na francuski.

Pora na obiad. Wymykamy się na wąski, zatłoczony chodnik. W Normandii deszcz leje chyba jeszcze częściej niż w Paryżu. Dziś śniap przez cały dzień. Możliwie najszybciej staramy się przecisnąć przez tłum zmoczonych przechodniów. Ktoś głośno wita się z gospodarzem i jego małżonką. Krótka prezentacja, automatyczne...ski. I oto młody blondynek z parasolem w dłoni odzywa się do

mnie idealną polszczyzną z ledwie do-słyszalnym akcentem francuskim - dobry wieczór panu! - Zatkano mnie. W parę chwil już wiem, że jest wychowawcą w jakimś domu dla młodzieży trudnej, nie tu, w Caen, ale gdzieś niedaleko, w zakładzie - dla chuliganów, jeśli chce pan wiedzieć - dodaje po polsku. Jest urodzonym Paryżaninem, jego matka pochodzi z Polski i jest nauczycielką.

Gawędząc nie spostrzegliśmy się nawet jak już trzeba było jechać na od-czyt. Naprawdę to dotąd nie wiedziałem ani gdzie, ani do jakich słuchaczy wypadnie mi mówić. Dopiero w samochodzie dowiedziałem się, że jedziemy do niewielkiej osady położonej tuż nad morzem - do znanego z dziejów drugiej wojny światowej Saint-Lazare, odległego o kilkanaście kilometrów od Caen.

Niewielka salka w dawnym budynku szkolnym, która w razie potrzeby służy za kino, teatr i salę odczytów. Na środku ustawiony okrągły stół przykryty serwetą. W krąg uśmiechnięte twarze młodych chłopców i dziewcząt w wieku licealnym czy już może student-ckim. Pan Lepoivre nie ogranicza się do zdawkowego przedstawienia prelegenta. Mówi o wielowiekowych tradycjach związków między Francją a Polską, o przyjaźni między obu narodami, o tym, co niezależnie od wszystkich różnic łączyło nas i łączy. Przypomina w ciepłych słowach, że w tym roku przypada rocznica 25-lecia nowej Polski, Polski Ludowej i nawiązując do zorganizowa-nych tu przy poparciu Konsulatu PRL w Paryżu wystaw, ilustrujących rozwój szkolnictwa w naszym kraju i osiągnięcia polskiego sportu, opowiada o naszym dorobku w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, o obchodach Tysiąclecia Państwa Polskiego, o budowie tysiąca szkół na Tysiąclecie. W roku bieżącym przypada także rocznica 25-lecia działalności Stowarzyszenia „Francia - Polska”, założonego jeszcze w 1944 roku w okupowanym przez Niemców Paryżu przez wielkiego uczonego Fryderyka Joliot-Curie, które już wówczas postawiło sobie za zadanie „pomóc męczeńskiej Polsce w odnalezieniu należnego jej miejsca wśród narodów europejskich”.

Oczywiście - notatki do prelekcji wyjąłem z kieszeni tylko po to, by je zaraz tam schować. Zawsze to lepiej mówić...

Zaczynam: - Panie przewodniczący, panie, panowie. Czuję się szczególnie wzruszony słowami, które pan, panie Lepoivre, skierował pod adresem mego kraju... - I jakoś poszło dalej. Gadaliśmy o historii w Polsce, o historii Pol-ski i o historii w Polsce, w dawniejszych i całkiem już współczesnych prze-mianach i kierunkach polskiej myśli historycznej, o roli tradycji dla naszej współczesności.

Ledwo skończył, a zasypano mnie pytaniami. Czego to one nie dotyczyły! Musiałem mówić o dziejach związków między Polską i Francją od czasów najdawniejszych do współczesnych, o znajomości kultury i literatury francuskiej w Polsce, o naszym szkolnictwie warunkach studiów na wyższych uczel-niach, ba, nawet o popularności fran-cuskich piosenkarzy. Tylko od odpo-wiedzi z dziedziny filmu jakoś się szczęśliwie wykręciłem - moi słuchacze wiedzieli o polskiej sztuce filmowej znacznie więcej niż ja sam i właśnie się wybierali na „Kanal”. Rozstaliśmy się dopiero po północy.

Wyjeżdżając do Francji obiecałem sobie solennie, że będę prowadził dzien-

nik, w którym będę notował co bar-dziej interesujące obserwacje i wrażenia. Jak większość pobożnych życzeń także i to pozostało w sferze projek-tów. Po prostu brak mi czasu. Ale te-raz w Caen, po wypiciu kawy i zje-dzeniu dwóch obowiązkowych rogalików wyruszą tuż po ósmej rano wzorem pana Piekwicka w wędrówkę z notesem w dłoni. Coś mi przecież zostało w głowie z tego, co mi wczoraj opowiedzia-no, a skoro do umówionego spotkania pięć godzin czasu mogę spokojnie zwi-edzić miasto. Jest ono stosunkowo duże - wraz z okolicą liczy ponoć ponad 100.000 mieszkańców i prawie całkowicie odbudowane po zniszczeniach do-konanych przez alianatów w 1944 roku. Pamięć o tym - jak się tu powiada - bezużytecznym z wojskowego punktu widzenia pokazuje sily Anglosasów, jak-im było bombardowanie Caen, jest tu do dziś bardzo żywa i nie można powiedzieć, aby sprawy zniszczenia mia-sta byli żywcem wspomniani. Zmie-rzamy do centrum - w prawo, przez most, Avenue du 6 Juin. Miasto jeszcze się nie zbudziło. Na Place de la Resi-stance na żadnym skwerze brzydki, wy-złoty posąg Joanny d'Arc na koniu, wzniesiony w 1931 roku w Oranie a przeniesiony tu - jak głosi napis - w 1964. Na długiej rue Saint Jean, któ-ra wiodzie od przepięknego kościoła tego samego imienia, księgarnia. Z na-wyku raczej niż ciekawości spoglądam na witrę. Sporo powieści, publicysty-ki, historii. W głębi, z prawej strony, na potykam znajome nazwisko: Roman Brat ny „Avoir vingt ans a Varsovie”. „Mieć dwadzieścia lat w Warszawie” - dopie-ro teraz uprzytamiam sobie, że jest to wydany u Gallimarda przekład „Kolum-bów rocznik dwudziesty”.

Koło południa wybieram się do siedzi-by Komitetu Narodowego Stowarzysze-nia „Francia - Polska”, który mieści się przy małej uliczce Paul-Lelong pod numerem 13. Na drugim piętrze odnaj-duję sekretariat: za biurkiem siedzi młody człowiek, który czyta właśnie „Zycie Literackie”. Rozmowa toczy się po francusku - mój rozmówca zna ję-zyk polski na tyle, by móc czytać, jed-nak mówienie sprawia mu wiele trud-ności. Poznaję sekretarza generalnego Stowarzyszenia, pana Aleksandra Kra-kowiaka, który informuje mnie o dzia-łalności i dorobku tej organizacji. W gabinecie na ścianach polskie ludowe wycinanki i widoki z naszego kraju. Książki polskie - po polsku i francusku. Dostrzegam pełne, trzymowowe wy-danie „Faraona”, które stosunkowo nie-dawno się tu ukazało.

Stowarzyszenie „Francia - Polska” po-wstało - jak wspomniałem - w czer-wcu 1944 roku z inicjatywy Fryderyka Jo-liot-Curie, który był jego pierwszym prezydentem. W Komitecie honorowym Stowarzyszenia odnajdujemy nazwiska szeregu wybitnych osobistości takich, jak m. in. Joseph Paul-Boncour, Rene Clair, Ernest Labrousse - znakomity historyk, utrzymujący żywe i przyjacielskie stosunki z uczonymi polskimi - Francois Mauriac; honorowym prezy-dentem jest Emile Tersen. Na czele pre-zydium stoi Maurice Bouvier-Ajam, dy-rektor Instytutu Prawa Stosowanego, a w jego skład wchodzi ponadto dziesięć osób, wśród których znajduje się Jean Auba, dyrektor Międzynarodowego Ośrodka Studiów Pedagogicznych, zna-komity polonista, autor monografii o „Stanisławie Augustu Poniatowskim i Europie Oświeconej”, profesor Sorbony Jean Fabre, Edgar Faure, mer Rennes

Henri Freville i inni - wśród nich oczywiście mój rozmówca, pan A. Kra-kowiak.

Stowarzyszenie „Francia - Polska”, które pierwotnie nosiło nazwę „Przy-jaźń Francusko-Polska, liczy w swoim dorobku uznanie przez francuski Naro-dowy Komitet Ruchu Oporu Polskiego Komitetu Wyzwolenia we Francji. Szczególnie doniosłą rolę odegrało ono w najtrudniejszych, pierwszych latach po wyzwoleniu spod hitlerowskiego jarzma. To z jego inicjatywy powstał we Fran-cji komitet pomocy bibliotekom pol-skim, który zebrał i wysłał do naszego kraju całe tony dzieł naukowych i li-terackich. Dzięki aktywności Stowarzy-szenia została utworzona wówczas pier-wsza grupa parlamentarna przyjaźni z Polską, do której przystąpiło spontanicznie ponad trzysta deputowanych. Po-mimo trudności, jakie pletrzyły się w okresie „zimnej wojny” Stowarzysze-nie zainicjowało we Francji powsta-wanie komitetów obchodów Mickiewi-czowskich, w stulecie śmierci poety, jak również komitetów obchodów Cho-pinowskich - w stuletnią rocznicę śmie-rci i stuipięćdziesiątą urodzin wielkiego artysty. Dla upamiętnienia bohater-stwa polskich żołnierzy z I Dywizji Gre-nadierów poległych w czerwcu 1940 roku na polach Lotaryngii Stowarzysze-nie zorganizowało komitet, celem wznie-sienia w Dieuse (Moselle) pomnika „ku chwale naszych braci broni”.

Stowarzyszenie „Francia - Polska” obejmuje dziś swoją działalnością ca-łą Francję, organizując - często przy poparciu władz polskich - najróżniej-sze odczyty i wystawy, zbiorowe wy-cieczki do naszego kraju, kursy wakacyj-ne itd. Jest obecne nie tylko w wiel-kich miastach, lecz także na prowincji, tam, gdzie żyją i mieszkają Polacy, i tam, gdzie ich nie ma, lecz jest wciąż żywe zainteresowanie naszym krajem, jego przeszłością i teraźniejszością. Gdzie trzeba - organizuje kursy języ-ka polskiego. Wydaje własne czasopis-mo - „France-Pologne-peuples amis” - które ukazuje się trzy razy w roku w pięknej szacie graficznej. Numer 163 z marca 1969 roku przynosi m. in. arty-kul Jana Zwierzyńskiego o Polskich Li-niach Lotniczych LOT, reportaż z życia polskich górników, rozważania Włodzimie-rza Rezka o sporcie i turystyce, wresz-cie dwa piękne eseje w związku ze stu-łeciem urodzin Stanisława Wyspiań-skiego - pióra Jana Z. Jakubowskie-go i Jean Fabre'a. Można też w nim przeczytać wiele o artystach polskich we Francji i francuskich w Polsce, re-cenzje z książek jakie się ostatnio ukaza-ły, informacje o działalności Stowa-rzyszenia, aktualności z Polski, wresz-cie - najróżniejsze reklamy, orga-nizowanych przez Stowarzyszenie wy-cieczek do naszego kraju, LOT-u, Or-bisu, PKO, nowych wydawnictw - a wszystko to przeplecione znakomitymi zdjęciami, z których zdecydowana więk-szość jest dziełem utalentowanego Jean Sirodeau.

Podczas rozmowy skończyły mi się papierosy - wypalillem chyba z pół paczki „cudzośców”. Opuszczam skrom-ny lokal Stowarzyszenia w przekonaniu, że chyba tu jeszcze kiedyś wrócę. Na pewno.



WIESLAW GARBOLIŃSKI.

Dziewczyna w oknie.

Zewsząd o wszystkim

Podziemne morze Sahary

„JENNE AFRIQUE” — TUNIS

„Odkąd w roku 1968, w oazie Kufra, w południowo-wschodniej Libii, odkryto ogromne zasoby podziemnych wód morskich, liczne projekty zagospodarowania Sahary stały się bardziej realne.

Oblicza się, że wykryto takie ilości wody, jakie Nil odprowadził do morza w ciągu ostatnich dwóch stu-łec. Można by nią nawad-niać 200 tys. hektarów zie-mi w ciągu 300 lat.

Zagospodarowanie dużych, nie wykorzystanych dotąd obszarów przyniesie ogromne korzyści rozwijającej się gospodarce libijskiej. Zada-nie nie jest proste, ale zrobiono już w tym kierunku pierwsze kroki.

Równolegle z planami wy-korzystania wielkich pod-ziemnych zasobów wodnych

Sahary, opracowuje się me-todę odsolenia wody morskiej przy pomocy komplek-sowego systemu „Newplex”, poruszanego energią jądro-wą. Składa się on z urzą-dzenia odsalającego i elek-trowni.

Dla Libii, słabej jeszcze gospodarczo, kupno, instalacja i eksploatacja takiego odsalacza nie jest sprawą łatwą. Jednakże wspólne sfinansowanie i użytkowa-nie tych drogich i skompli-kowanych urządzeń przez kilka krajów tej strefy mo-że się okazać w pełni ren-towne.

„Newplex” jest zdolny do wydobycia i odsolenia 4 miliardów 725 mln litrów wody dziennie. Produkty rolne, otrzymane z nawo-dnionych nią terenów pustyn-nych będą w stanie wyży-wić 7 mln ludzi.”

Ludność niewielkiego hi-malajskiego królestwa Bhu-tanu, graniczącego z China-mi, wznaje lamaizm. Jak wiadomo, buddyści wierzą w „wędrówkę dusz”, wcie-lających się po śmierci w nową żywą istotę. Lamaiści wierzą ponadto, iż przeisto-czenia mnichów, wyróżnia-jących się w życiu doczes-nym wyjątkową świątobli-wością, zasiągają na specja-ly hold. Ludzi, w których według wierzeń Bhuityczy-ków wcieliła się dusza zmar-łego lamy nazywają „wy-brancami”.

Gdy zachodzi przypuszcze-nie, że jakieś dziecko jest „wybrancem”, poddaje się je próbie i dopiero wówczas otr-zymuje ono specjalne wy-kształcenie, stając się przed-miotem czci.

Dyplomatyczny zabójca

„GLOBE AND MAIL” — TORONTO

„W Waszyngtonie wyszły niedawno na jaw zbrodni-cze praktyki niejakiego dok

„Przesiedlenie dusz”

„DAILY NEWS” — TOKIO

Do tych tradycyjnych wie-rzeń wprowadzono ostatnio bardzo istotną poprawkę. O-to w Panakha, stolicy kró-lestwa Bhutanu, ogłoszono postanowienie rady królewskiej o nowych zasadach u-znawania „wybranców”.

„Jeśli okaże się, iż w dzie-cko wstąpiła dusza zagranicz-nego lamy, na przykład la-my z Tybetu - głosi posta-nowienie rady królewskiej - nie uznaje się go za „wy-branca” i, co więcej, nale-ży uznać je za cudzoziem-ca...”

Tę nowo wprowadzoną za-sadę tłumaczy się względa-mi nie religijnymi, lecz czy-sto politycznymi. Zagranicz-ni obserwatorzy wiążą ją z ożywieniem idei maolistow-skich w Bhutanie.

Alabamy, Arkansasu i Oklahomy.

Dr Stay produkował w szpitalach więziennych pre-paraty z plazmy krwi, nie-zbędne przy leczeniu wielu chorób. „Surowiec” pobierał od więźniów. Oddzielał z krwi plazmę, a pozostałą masę krwinkową wprowa-dzał z powrotem do układu krwionośnego dawców. Ta ryzykowna procedura mog-ła wywołać w każdej chwili niebezpieczne powikłania wątrobowe. Nie chodziło tu jednak o zdrowie pacjen-tów. Badanie lekarskie przed pobraniem krwi, jak również przed wykonywa-niem innych eksperyment-ów, przeprowadzali fel-czerzy, poświęcając kaźde-mu pacjentowi nie więcej, niż dwie minuty.

Wskutek tych i im po-dobnych „zabiegów” lekar-skich, u ponad 500 więź-niów stwierdzono ostre za-palenie wątroby.

Stay nie tylko pobierał krew od więźniów, lecz traktował ich jak „króliki doświadczalne”, wyprobo-wując na nich działanie no-wych leków.

W roku 1964 przestępcom, odbywającym karę w cięż-

kim więzieniu w Arkansas, w ciągu dwóch miesięcy wstrzykiwano surowiec pro-dukowaną w jednej z tam-tejszych kompanii farma-ceutycznych (farmakologicz-nych). Jeden z więźniów, Baldwin Clifford w dwa ty-godnie po ostatniej iniekcji preparatu ciężko zaniemógł i wkrótce zmarł.

Trudno dziś ustalić, ilu więź-niów - pacjentów doktora Stay'a zmarło w wyniku tych eksperymentów. Jedne historie chorób „przypadły”, innych nie doprowadzono do końca. Stwierdzono na pewno sześć wypadków śmierci, spowodowanych „eksperymentami” Stay'a.

Ustalono, iż „przedsiębior-stwo” lekarza więziennego dostarczało około jednej czwartej wszystkich pre-paratów z plazmy, wytwarza-nych w Stanach Zjednoczo-nych, a z jego usług bada-nia skuteczności nowych le-ków korzystało ponad dzie-sięć większych kompanii farmaceutycznych. Te niedo-zwolone eksperymenty przy-nosiły Stay'owi ogromne zy-ski. Tylko w roku 1967 za-robił na nich ponad pół miliona dolarów!...

ÓŁKA Z książkami

TANIEC NAD JEZIOREM

Kto przeczytał choćby jedną książkę Stefana Majchrowskiego nie oprze się pokusie przeczytania każdej następnej... A przecież Majchrowski pisze książki bardzo różne. „Pan Sienkiewicz”, „Pan Fredro” — to beletryzowane biografie oparte na dokumentach. „Przystanek za miastem” — bezpretensjonalna powieść — obrazek współczesnego życia. „Knot, Pociąg ko i spółka” — uroczą gawiedź o wędrownym życiu z lat minionych...

A „Taniec nad jeziorem”? Tu Majchrowski sięga do pradziejów Polski, do czasów Karola Wielkiego. Ukazuje obraz codziennego życia, obyczaje, wierzenia... Ale jest to obraz poparty badaniami archeologów i historyków kultury — nie wymyślony więc, lecz mający duże wartości poznawcze.

Jak zwykle u tego pisarza powieściowy wątek nie wartko — czyta się „Taniec nad jeziorem” z nieśladym zainteresowaniem. Akcja toczy się w okresie wielkich przemian historycznych — powstania „Regnum Francorum”, zniszczenia potęgi Awarów, pierwszych rozbójniczych wypraw skandynawskich Wikingów — i tworzenia się państwa Polan.

W „Taniecu nad jeziorem” obraz tej epoki prezentuje się nader plastycznie, a bohaterowie tworzą postacie barwne, żywe — z krwi i kości. Cechuje ich — a jakże! — sirowość obyczajów, rubasność, ale w świecie w którym żyją nie brak i humoru i poezji. Jeśli nawet nie całkiem było tak przed setkami lat — chętnie Majchrowskiemu wierzymy... Jego książka jest bowiem bardzo sugestywna, bardzo ciepła i bardzo po ludzku życzliwa dla tamtych dalekich ludzi znanego jeziora...

J.W.

Stefan Majchrowski „Taniec nad jeziorem” Cytelnik 1969 cena 20 zł.

Dwudziestolatek zwykle pyta: — A nie wie pan gdzie tu można by się zabawić? Trzydziestolatek sonduje inną kwestię: — Czy aby na pewno praca będzie ciekawa? Komu jednak stuknęła czterdziestka, ten zapytuje z niepokojem w głosie: — Czy renta będzie wysoka? I tym jednym pytaniem wyraża się swolista obawa przed starością, lęk przed niedostatkiem, bojaźń przed utratą z takim trudem wywalczonej pozycji. Uczucie jest niemile.

Kiedy człowiek staje się mniej społecznie użyteczny?

Różne na ten temat ścierają się poglądy. Na Zachodzie utarła się dość powszechna raczej opinia, że czterdzieste lat to owa niewidzialna granica, poza którą nie należy już niczego oczekiwać. Już dawno przecież podjęliśmy najważniejsze w życiu decyzje. Wybraliśmy zawód. Wybraliśmy przyjaciół. Wszliśmy też w trwałą koleinę rodzinnego życia. Jesteśmy na samym szczycie. Przed nami prosta droga, która ma jednak to do siebie, że prowadzi w dół i do nikąd więcej. Zaczyna się schodzenie.

Po czterdziestce zaczyna się okres ciągłego dźbania w myślach.

Czterdziestolatek wchodzi w okres największego kryzysu. Czterdziestolatek duma nad minionym czasem i jest pełen pogardy do siebie samego. W tym mniej więcej czasie narasta też obawa przed jutrem. A jeśli patron wyrzuci z pracy? Co, jeśli boss zaproponuje przejście na gorzej płatne stanowisko? Co, jeśli nawet lekarz zaleci zmianę pracy bo po pierwszym zawale mogą nadejść dużo groźniejsze? Gra jest skończona, monsieur Dubois, czas hazardu minął bezpowrotnie.

Nie ma co do tego dwóch zdań, że panujący na Zachodzie styl życia faworyzuje jednostki młode, zdrowe i dynamiczne. Młodzi są ogarnięci żądzą wybiecia się. Pragną się wspinać, niech kosztuje co chce, po coraz to wyższych szczeblach. A ktoś ma ochotę na wspinaczkę, gdy wybiła czterdziestka na zegarze życia? Dajcie mi już lepiej spokój, dosyć się naszarpałem, dla mnie teraz zdrowie najważniejsze. Podejmuje nowe ryzyko, przenosić się do innego miasta? O nie, co to do to nie... I w ten sposób czterdziestolatek sam tego nie pragnąc, ujawnia swą piętę Achillesa. A boss zaciera ręce, no co, nie mówiliśmy, że ci starsi faceci nie tylko oszczędzają się w robocie? Przecież rutyniarze, dla nich renta jest ważna i wypoczynek. Najlepiej posiąć by ich wszystkich do stu diabłów. Co innego młodzi, o zdrowie nie dbają, bo go mają w nadmiarze.

To jeden punkt widzenia, ten zachodni. Bo wcale nie jest prawdą, że człowiek osiąga szczyt swych możliwości przed czterdziestym rokiem życia. Fakty temu przeczą. Wiek i starość to pojęcia względne, w żadnym też wypadku nie biegają równoległe. Reguły nie ma. Muzycy, pisarze, politycy... dochodzą do pełnego rozkwitu sił twórczych w późnym raczej wieku. Przykładami można by sypać jak z worka. Niebezpieczeństwo jest innego rodzaju.

JAN BABIŃSKI

Co dalej po czterdziestce?



Po czterdziestce człowiek już się raczej ustabilizował. Ma niezłą posadę, ma ładnie urządzone mieszkanie, niekiedy ma też auto i jest w pewnym sensie materialnie zabezpieczony. Najważniejsze żeby niczego nie zmieniać, bo i po cóż szukać nowych dróg, kiedy stare też były dobre i do celu zaprowadziły?

Czterdziestolatki lubią zadawałać się tym co już mają. Czasem też by chcieli żyć kosztem dawnych zasług. Problem to stary jak świat. W dawnej Japonii artysta, który zdobył sławę i rozgłos, zmieniał celowo nazwisko i miejsce zamieszkania. Zmieniał po to, żeby sprawdzić swą wartość i nie żyć procentów dawnej chwały. Cała trudność na tym więc raczej polega, że po czterdziestce tylko wówczas można się wybrać w nową drogę, gdy życiowe cele nie zostały jeszcze osiągnięte. Dramat wtedy się zaczyna, gdy tych celów zabrakło. Staczenie się jest w takim wypadku raczej nieuchronne. Trzeba się też dokształcać. Trzeba wciąż od nowa zasilać źródło, z którego czerpało się przez tyle już lat Biała, jeśli to źródło pokazuje suche dno.

Nie ma przecież w naszym ustroju konfliktu pokoleń, jest za to na pewno konflikt kwalifikacji.

Na Zachodzie cały ten problem wygląda odmiennie. Przypominam sobie jak w Tours nad Loarą pokazywano mi pewnego pana, który każdego dnia przesiadywał na bulwarowej ławce i nerwowo wertował popołudniówki. Był szefem działu w jednym z tamtejszych przedsiębiorstw chemicznych wybudowanych po wojnie. Ów pan, z zawodu inżynier, stracił posadę. Skończył właśnie 40 lat, a takich szefów tam nie potrzebują. Zarzuca się im skostnienie i wygodnictwo. Chemik miał wille, samochód, miał posłuch i władzę i nagle to zwolnienie. Sprzedał więc auto. Musiał. Gdyby tego nie zrobił, nie mógłby kupić wac sterty fachowych wydawnictw. To kosztuje. Studiował czasopisma, żeby „se tenir au courant”, aby trzymać rękę na pulsie najnowszych odkryć i wynalazków. Inaczej byłby skończony i żaden dyplom nie by mu nie pomógł. Na bulwarowej ławce zaglądał do „Offres d'emploi”, do ogłoszeń o wolnych miejscach pracy. Potem zanosił plik listów na pocztę kolo ratusza i czekał na odpowiedź. Te nadchodziły dość często. Chemik miał jednak pecha. Gdy w biurze kadr, zapytany o wiek odpowiadał, że ukończył 49 lat, wówczas twarz kadrowca nieodmiennie tężała w grzesnościowym chłodzie.

— On vous écrira — słyszał — powiadomimy pana listownie. Inżynier z Tours przekroczył fatalną we Francji barierę czterdziestu lat. I nic mu nie pomogło, że sprawiał doskonale wrażenie, był w pełni sił fizycznych i umysłowych. Trzymał zresztą fason. Wkrótce miał wszakże nadejść dzień, kiedy chemik spuści z tonu i prawdopodobnie przyjmie każdą pracę, jaką mu się zaoferuje na wygodnych dla pracodawcy warunkach.

Przypominam sobie też zdarzenie, które ze względu na tragiczną wymowę przedostało się na łamy paryskiej prasy. Inżynier włókiennik Michel Lefebvre z Lyonu otrul się spalinowym gazem we własnym garażu. Zostawił lakoniczny list — „Jest czymś obrażającym moją godność, że w wieku 41 lat nie mogę znaleźć pracy i wyżywić rodziny. Jestem „un homme fini”, a skoro tak, to skończyłem ze sobą...” Na wieść o samobójstwie męża pani Lefebvre też odebrała sobie życie.

Czego się nie robi dla młodzieży. Modne jest co młode, choć rozsądniejsi Francuzi wietrzają nonsens na kilometr. Dowodzą, że na początku tego wieku statystyczny Francuz żył 45 lat. Teraz żyje lat 68 i wygląda na to że długość życia będzie rosła. Francuzi żyją dłużej, zatem dłużej też pozostają młodymi. Tymczasem w biurach kadr obowiązują ubiegłowieczne zasady i przestarzałe normy. Człowiek po czterdziestce jest dla kadrowca za stary, bo taki pogląd obowiązywał w epoce maszyni parowej. I tak już pozostało po dziś dzień.

Kiedy się czyta pewne korespondencje, to można by odnieść wrażenie, że cały Zachód zaludniają bandy gangsterów, włamywaczy, hippisów i narkomanów. Jeśli tak, to ktoś u licha buduje książkowe rakiety? Jedno jest natomiast pewne i dyskusji nie podlega. W humanizacji stosunków międzyludzkich bijemy Zachód na głowę. Starzy i słabi są tam na indeksie. Nikt im ręki nie poda przez Amfil-Zbawienia. Co słabe, co bezbronne, co mniej zdolne i przedsiębiorcze, wylatuje za burtę. Prywatny przedsiębiorca ma swój prywatny interes na oku i mało go obchodzi czyjeś żale i biadolenia.

Czy jest pan stary? Owszem, jest pan stary jeżeli nie ma pan już żadnego celu w życiu. Jest pan stary już jako dwudziestolatek. Już wtedy staje pan nad własnym grobem. Dążymy do czegoś. Niech to będą cele bliższe i dalsze. Najważniejsze żeby były. Póki do czegoś dążymy, jesteśmy młodzi. Giuseppe Verdi skomponował swą najwspanialszą operę „Falstaff” jako osiemdziesięcioletni starzec. Posłuchajmy jak brzmią jej solowe arie.

Prawdźwie wierzący jest ten, kto umie jeździć i skakać na koniu i potrafi w porę nacisnąć cyngiel colta. Chęć zawrócenia z drogi jest najcięższym grzechem.

„Western” kończy się objawieniem: „Poszukuje się człowieka, który by pomógł w odrodzeniu Kościoła”.

„Teologiczny western” ojca Salingera cieszy się w USA ogromnym wzięciem. Jego fragmenty pojawiły się w poważnych katolickich i protestanckich pismach. Krytycy mają różne punkty widzenia: jedni chwala „western”, inni odsądza go od czci i wiary. Ale ojciec Salinger jest zadowolony: otrzymał już zamówienia na nowy utwór z tej serii...

Zarówno federalne ministerstwo zdrowia, jak i ministerstwo oświaty i ubezpieczeń społecznych oraz stanowe władze ochrony zdrowia doskonale wiedziały o przestępczej działalności Stay'a, jednakże nie podjęły żadnych kroków, żeby położyć temu kres. Pewien

Ścisłe tajne...

„L'ASTROLABIO” — RZYM

„Leży przed nami „ściśle tajny” dokument amerykańskiej filii Central Intelligence Agency (Centralne Biuro Wywiadowcze) w Grecji. Są to wytyczne działania, opracowane z zawodową doskonałością. Dla kogo? Oto greccy odbiorcy, od których CIA żąda informacji: greckie min. spraw zagranicznych, greckie poselstwa za granicą, ministrowie rządu greckiego, sztab generalny...”

Pierwsza część „wytycznych” zawiera wskazówki, w jaki sposób uchwycić w kraju „nici komunistycznego spisku”. Druga — jak organizować siatkę szpiegowską za granicą, a przede wszystkim w krajach so-

urzędnik z Alabamy powie-dział wręcz, iż „nie istnieją przepisy, które by zabraniały przeprowadzania w więzieniach podobnych eksperymentów”.

Austin Stay też wie o tym i nadal, bez przeszkód, kontynuuje swe zbrodnicze eksperymenty”.

Autorów tego dokumentu interesują metody i taktyka walki rewolucyjnej, jej silne i słabe strony. Tę część zamyka wykaz międzynarodowych organizacji, szczególnie niebezpiecznych z punktu widzenia CIA. Otwiera go Światowa Rada Pokoju. Za nią następują: Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej, Światowa Federacja Kobiet, Międzynarodowa Federacja Bojowników Ruchu Oporu, Międzynarodowa Federacja Związków Zawodowych, Międzynarodo-

wa Organizacja Dziennikarzy. Figurują w nim również związki — nauczycieli, studentów, naukowców, lekarzy, zrzeszenie prawników-demokratów, Międzynarodowa Organizacja Radia i Telewizji.

Dużo miejsca zajmuje „komunizm grecki na emigracji”. CIA chce wiedzieć wszystko o Grekach, przebywających poza granicami kraju: czy żyją pojedynczo, czy w zwartych grupach, jak się bawią, czy chodzą do kościoła, jak rozwija się myśl marksistowska wśród greckich robotników i studentów, mieszkających za granicą.

CIA żąda informacji z kongresów studenckich: liczb uczestników, porządek dzienny, charakter wystąpień, treść rezolucji. W części dotyczącej ruchu komunistycznego wewnątrz Grecji, instrukcja jest rozszerzona o różne wewnętrzne warianty tego problemu. CIA pragnie wiedzieć wszystko o zdelegalizowanej Komunistycznej Partii Grecji, jak również o działalności greckiej Zjednoczonej Lewicy Demokratycznej.

Jest to zaledwie jedna z licznych macek CIA, które obejmują cały świat Zachodu. Każda z nich sięga do elektronicznej kartoteki i działając na zasadzie sprzę-

żenia zwrotnego, uruchamia mechanizmy przewrotności politycznych i gospodarczych, takich jak na przykład w Grecji”.

Teologiczny szlagier

„LOS ANGELES TIMES” — LOS ANGELES

„Ojciec Salinger jest katechetą w jednym z teksaskich college'ów, ale szeroki rozgłos zyskał jako autor „westernu”, jedynego w swoim rodzaju. Bowiem „western” ojca Salingera jest na wskroś... teologiczny. Tak!

Bóg występuje w roli władcy Dzikiego Zachodu. Pije czystą whisky, żuje tytoń i bez trudu zwala z nog najsilniejszego marynarza. Bóg przebywa nie w niebie, lecz w skromnym pionierskim wozie konnym wraz z osadnikami. Gdy pionierzy miękną — znużeni trudami wędrowni na szlaku — i ujawniają słabości charakteru, Bóg naprowadza ich na dobrą drogę.

Chrystus jest tropicielem śladów i samotnie kroczy przed taborem, wskazując mu właściwy szlak. Jego uczucia, myśli i czyny są podporządkowane, rzecz prosta, woli bożej.

Rolę Ducha Świętego wyznaczył autor dziewicy ze stepu. Na jej piersi znajdują pociechę utrudzeni wędrowcy. Wystarczy, że tylko spojry na którego i trzepnie nim namiętności niktą wnet bez śladu.

● Zawszqd o wszystkim ●

Janusowe oblicze „OSNOWY”

„Osnowa” rozpoczęła swój żywot wydawniczy jako regionalny almanach literacki wieńcząc długie starania pisarzy Łodzi o periodyk poświęcony początkowo w przeważającej mierze prezentacji ich dorobku. Ta dziewiętnastowieczna formuła antologii zawierającej „czystą literaturę” była zresztą traktowana jako program minimum, jako punkt wyjściowy do starcia o czasopismo z wyraźnym określonym programem ideowo-artystycznym. Bowiem dopiero tak profilowany periodyk może się przyczynić do wyraźniejszego niż do tej pory zaznaczenia dorobku artystycznego, kulturalnego i naukowego Łodzi na mapie kulturalnej Polski, z drugiej zaś strony może posłużyć sprawie integracji miejscowych środowisk twórczych stając się precyzyjnym instrumentem polityki kulturalnej.

Ewolucja w kierunku czasopiśmiarności odbywała się powoli i niezbyt zresztą konsekwentnie. Nawet zwiększenie częstotliwości ukazywania się zeszytów „Osnowy” nie spowodowało radykalnego przełomu. Status prawny periodyku, którego na kładce jest Wydawnictwo Łódzkie, nie został dopowiedziany do tej pory. Formalnie „Osnowa” jest w dalszym ciągu literackim almanachem, bez prawa numerowania kolejnych zeszytów. Dlatego też redakcja czasopisma postuluje się musi formułką pół roku sygnalizując swoje kolejne publikacje. Ale mimo tych kłopotów udało się jej zwiększyć zarówno obszary tematyczne jak i krąg autorów o ogólnopolskich nazwiskach. Dowodem tego jest choćby ostatni zeszyt „Osnowy” oznaczony kryptonimem „Lato 1969”, którego zawartość szczerze głowo tutaj omówimy.

W numerze tym „czysta literatura” stanowi wciąż jeszcze zasadniczą część programową zamieszczonych materiałów. Boga to reprezentowana jest prozą (opowiadania Jerzego Ficowskiego, Jana Czarnego, Lecha Budreckiego) i jeszcze obficie poezja (wiersze Mieczysława Buczkówny, Wiesława Kązanckiego, Zbigniewa Strzałkowskiego, Eugeniusza Garnucha, Grigora Abaszidze, Wiktora Bokowa, Stanisława Cieślaka, Ludwika

Świeżawskiego, Krzysztofa Pięta, Jerzego Millera, Sławomira Cieślakowskiego, Mieczysława Kucnera oraz fraszki Tadeusza Giegiera). Ta obfitość utworów poetyckich da się pewnie wytłumaczyć tym, że „Osnowa”, z jej długim cyklem produkcyjnym, dopiero teraz odnotować może odbywający się corocznie w Łodzi Ogólnopolski Festiwal Poezji. Szkoda jednak, że to ważne wydarzenie kulturalne nie znalazło w kwartalniku bardziej wyraziste go odbicia. Poza paroma wierszami laureatów materiały odnoszące się bezpośrednio do Festiwalu stanowi lakoniczna nota informacyjna i ogłoszony te raz drukiem głos w dyskusji Bogdana Ostromięckiego. Jest to za mało choćby dlatego, że ten ostatni zjazd poetycki odbywał się pod hasłem XXV-lecia PRL i dyskusja na nim, oraz referaty, dotyczyły sytuacji literackiej ćwierćwiecza.

Te braki numeru wynagradza nam esejystyka „Osnowy”. War to tu odnotować szkice Marii Kornatowskiej zatytułowany „Surrealizm czyli czas powrotu” oraz Anny Kamińskiej pt. „Czeladnik u Kochanowskiego”. Pierwsza praca dotyczy przeobrażeń jakie przeszedł w sztuce nurt surrealistyczny od czasów manifestu, który proklamował jego istnienie aż po ostatnie zaburzenia społeczne na Zachodzie. Druga zaś praca kreśli sylwetkę Kaspra Miaskowskiego, wybitnego polskiego poety doby kontrreformacji, młodszego o 20 lat od Jana Kochanowskiego. Esejystykę tę uzupełnia szkice Henryki Razikówny pt. „Świat Tadeusza Nowaka”, Andrzeja Brauna „Singapur — wschodni port”, który przedstawia rolę jaką odegrało to miasto w związkach Conrada ze światem malarzskim, Tadeusza Szewery „Serce w plecaku”, które jest fragmentem książki poświęconej walczącej piosence, wreszcie publikacja Anny Pogonowskiej „Z dziennika lekturek” napisana w konwencji, którą szczególnie lubił Jerzy Zawieyski.

Spora część numeru „Osnowy” stanowią materiały archiwalne. Warto tu przede wszystkim zasygnalizować ukazujące się w druku po raz pierwszy listy Emila Zagadłowicza do wy-

bitnego publicyisty i tłumacza Pawła Hulki-Laskowskiego. Korespondencja ta, w wyborze Michała Kuni, jest przejmującym dokumentem sytuacji lewicy intelektualnej w Polsce międzywojennej. Równie ciekawe są wspomnienia Jana Huszczy pt. „Od wspólnego pokoju do oddzielności” o poecie spod znaku autentyzmu Stanisławie Piętaku. Do archiwaliów zaliczyć można również szkice Tadeusza Telmy omawiający „Wolną Łódź”, pierwszą powojenną gazetę w wyzwolonym mieście. Jest już tradycją „Osnowy”, że każdy swój zeszyt ilustruje reprodukcjami twórczości plastycznej skomentowanej pogłębioną recenzją albo nawet esejem. Tym razem Henryk Anders, znany historyk sztuki, prezentuje łódzkich monumentalistów (Głowacki, Jaeschke, Lubniewicz, Sikorski), którzy zdubowali sobie rozgłos pracami wykonywanymi w technice sgraffito. Interesujący, choć mocno dyskusyjny jest szkic Jerzego Oplustila pt. „Miasto funkcjonalne”, omawiający koncepcję miasta jako całości.

Słabiej, bo tylko przez jednego krytyka o pewnym autorze (Feliks Fornalczyk), reprezentowany jest dział recenzji. Inni piszący, jak Mieczysław Kucner czy Józef Henryk Wiśniewski, choć zwłaszcza ten pierwszy, przy bardzo skomplikowanej aparaturze pojęciowej, manifestują dość przeciętny ładunek myślowy. Zaś dział not, choć bardzo rozbudowany, stanowi dziwną mozaikę, w której obok spostrzeżeń cennych znajdują się i rzeczy błahe.

Mimo wielu zasygnalizowanych tu niedociągnięć można

jednak ambicje „Osnowy” określić jako zżykujące. Niepokój budzi tylko operatywność periodyku, która, przy niezwykle wydłużonym cyklu produkcyjnym, równa jest prawie zeru. Jak to już sygnalizowałem, materiały poświęcone Ogólnopolskiemu Festiwalowi Poezji ukazują się z półrocznym opóźnieniem. To samo odnosi się do centralnego wydarzenia ostatnich miesięcy, jakim był jubileusz XXV-lecia Polski Ludowej. Do „Osnowy”, która paradoksalnie nosi nadruk „Lato 1969”, zdołano włączyć za ledwie jeden artykuł rocznikowy Władysława Bortnowskiego, zbyt jednak ogólny, aby zaważył na kształcie numeru. Materiały ściśle jubileuszowe ukazują się więc, jak to wynika z zapowiedzi redakcyjnych na okładce zeszytu, dopiero na następny, jesienią już numer „Osnowy”. Opóźnienie znówu półroczne. Z tych samych zapewne przyczyn w dziale krynikańskim nie odnotowano jeszcze nagród, jakie w ostatnich miesiącach otrzymali za wieloraką działalność artystyczną i twórczą zamieszkali w Łodzi, Wacław Biliński i Konstanty Mackiewicz.

Jeśli ta ociężałość produkcji na stanie się zasadą ukazowania „Osnowy”, postdatowane numery czasopisma sprawią chyba przyjemność tylko historykom i archeologom, choć krąg czytelników łódzkiego periodyku jest znacznie szerszy, obejmuje bowiem wszystkich, którzy interesują się nauką, kulturą i sztuką.

TELEOBIEKTYW

Monodram - forma telewizyjna

W niedzielę 12 października wystartowała nowa forma teatru TV: monodram. Nie znaczy to, że do tej pory nie oglądaliśmy spektakli jednego aktora na antenie telewizyjnej. Zdarzały się, ale tylko zdarzały się. Obecnie, zgodnie z zapowiedzią redakcyjną ogłoszoną przez spółkera przed premierą, monodramy stanowią będą przez, planowany element programu.

A teleobiektyw (jak to teleobiektyw) z zadowoleniem kwituje każde krzewienie się w programie form typowo telewizyjnych. A że monodram jest taką właśnie formą, postaramy się przedrzeć na przykładzie wspomnianej premiery, której osnowę stanowił drukowany niedawno na łamach „Kultury” utwór Stanisława Grochowiaka „Narzęcone, czyli Lament na jednego aktora i chór żeński”.

Tekst Grochowiaka jest dowcipny, pełen ludowego wdzięku, choć z punktu widzenia drobniomieszczańskiej obyczajowości trochę ryzykowny. Wspomnienia i wyznania eks-żołnierza i eks-osadnika wojskowego Pigwy dotyczą spraw matrymonialno-kopulacyjnych w sposób tak beceremonialny i dosadny, że tu i ówdzie budzić mogą opory. No, bo jeśli tylko potraktować rzecz serio, przymierzmy do wzorców moralnych, tych wyabstrahowanych z określonej sytuacji historycznej i społecznej, „Lament” Grochowiaka wydać się może trywialnym i sprowadzającym stosunki między ludzkie do poziomu zoologii.

Tak, ale nie jest przypadkiem, że wspominki Pigwy dotyczą pierwszych chwil po ostatniej wojnie, okresu odbudowywania człowieczeństwa. Młodzi osadnicy wojskowi na Ziemiach Zachodnich, eks-żołnierze i eks-fizylerki, za jedyną szkołę życia i obyczajów mieli dotąd front z wszystkim jego implikacjami. Echa wystrzałów umilkły, trzeba było zacząć żyć normalnie, ale jak? Nie bardzo to wiedzieli wychowankowie ziemianek i rowów przeciwzwołgowych.

Z pierwszą pomocą spieszył instykt biologiczny, instykt rozmnażania się i utrzymania gatunku. A więc żenie się, wychodzić za mąż, płodzić i rodzić dzieci! Byłe partnerki czy partner byli zdrowi i młodzi! Sąd prymityw i nie osłonięty żadnymi wstydliwymi kamuflażami charakter zalecanek.

Grochowiak, wyczuwając znakomicie ten właśnie charakter uproszczonych konwencji powojennych, dopatrzył się w nich wielkiego ładunku ludowego humoru. Jest to humor rodem z Renesansu, z rabelaisowskiej „Gargantua i Pantagruela”. Do najelementarniejszych spraw ludzkich podchodzi bez pruderii, bez ostentacji. Sprowadza życie do czynności pierwszych, to jest do jedzenia, picia, kochania się i wypoczynku. Nawet ksiądz (eks-kapelan fizylerki, a obecnie proboszcz — organizator parafii), jedyny bardziej świadomy czynnik w tym środowisku, poddaje się atmosferze i nawet jej patronuje.

Humorystyczne i humanistyczne (tak, humanistyczne!) walory „Narzęconych” Grochowiaka odczytał nieomylnie reżyser i wykonawca monodramu telewizyjny Wojciech Siemion. Ale też nie ma w naszym teatrze drugiego artysty, równie uczulonego na ludowość, na mentalność chłopską, jak właśnie Siemion, nieodrodny syn wsi lubelskiej, wsi polskiej.

Ale w referowaniu zalet tekstowych i aktorskich spektaklu „Narzęconych”, zapomniałem o telewizji. Więc wróćmy do naszych baranów, jak mawiał molirowski Grzegorz Dyn dała! Zaczęło od pytania, czy „Narzęcone” mogłyby być wystawione na deskach zwykłego teatru? Raczej nie, a w każdym razie z trudem. Scena przeobraziła się w rodzaj estrady literackiej, dość martwej w sensie widowiskowym.

A w telewizji? Możliwości techniczne pozwoliły przechodzić z postaci starzejącego się Pigwy nad kulem piwa na młodego Pigwę w mundurze żołnierza, przeżyającego euforię owych pierwszych chwil powojennych. Tło dla aktora wypowiadającego tekst monodramu stanowiła przygotowana do bankietu stolówka czy świetlica z orkiestrą na estradzie, z młodymi dziewczętami zawiązującymi festony i inne elementy dekoracyjne, wreszcie z chórem eks-narzęconych Pigwy.

To żywe, ruchome tło stanowiło na zasadzie skojarzeń z tekstem jednocześnie jego oprawę plastyczną i uzupełnienie semantyczne, decydowało o bogatym wyrazie widowiskowym całości. Tak więc monodram jako forma telewizyjna interesująco zasygnalizował swoje stałe miejsce na małym ekranie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Spektakle tygodnia

spektakli widzów proc.

TEATR WIELKI			
„Così fan tutte”	1	1010	80
„Romeo i Julia”	1	1260	100
NOWY			
„Sędziowie”	3	2100	100
„Życie jest snem”	1	460	65
„Dziś do Ciebie przyjdę nie mogę”	2	1400	100
NOWY			
Mała Sala			
„Księżyc święci nieszczęśliwym”	3	480	80
„Kaprys”, „Drzwi muszą być albo otwarte, albo zamknięte”	2	400	100
POWSZECHNY			
„Boso, ale w ostrogach” (Musical)	6	3960	100
Im. JARACZA			
„Ballada o tamtych dniach”	2	992	80
„Pan Jowialski”	4	1984	100
„Ania z Zielonego Wzgórza”	1	620	100
7,15			
„Jadzia wdowa”	2	844	100
„Adela i stressy”	4	1688	100
OPERETKA			
„Skrzydlaty kochanek”	6	5295	79
FILHARMONIA			
„Festiwal Muzyki Organowej i Oratoryjnej” (w kościele św. Mateusza)	8	6000	100

O FILMACH DOBRZE I ZŁE



Przed kilku laty M. Romm w swym filmie „Dziewięć dni jednego roku” prowadził znakomity, porównujący dyskurs o postawach życiowych ludzi z środowiska techniczno-naukowego. Stawiając w centrum uwagi ich talent i wewnętrzne nakazy moralne i ideowe, dotykał twórcą rejonów spraw o wymiarze najdonioślejszym. Pogłosy owego dyskursu przykrajaczo różnym jego modelem, odnaleźć możemy w filmie Krzysztofa Zanussiego „STRUKTURA KRYSZTAŁU”.

Polski reżyser sprowadził temat do wymiarów codzienności zwyczajnej, do

której klucza szukać moglibyśmy nawet tylko, idąc zresztą za jednym z wyznań reżysera, w geście sprzeciwu wobec kompleksu prowincji.

Zagubiona wśród śniegów i lasów prowincja jest tu prowadzonych w filmie sporów nie tyle o sens ogólny, ile o efektywność ludzkiego działania. Dwa jego możliwe warianty przedstawiają losy dwu bohaterów, przyjaciół z dawnych studenckich czasów. Marek, młody uczonek, docent geologii, ma już za sobą błyskotliwą karierę, rokującą przy wszystkich sprzyjających okolicznościach dalszą sprawną i efektywną działalność naukową. Jan, startujący w młodym zaplecem możliwości wybrał pracę synoptyka w małej wiejskiej stacji meteorologicznej.

Wychwytyjąc w dyskusjach obu przyjaciół ich racje i motywy postępowania, łowiąc strzępy zwierzeń i rozmów, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że w decyzji Jana nie sam świadomy wybór drogi życiowej gra rolę główną.

W uporze Jana, który swą prowincję za nic nie chce opuścić, brak przekonującej argumentacji. W owym wyciszeniu da się wyczuć pewien lęk przed światem, w którym żyje jego przyjaciel, w niedopowiedzeniach o chorobie Jana kryją się chyba również jakoweś racje

wyboru. Przesadnie demonstrowany związek z naturą, dziecięnie niemal zabawy wśród lasów i śniegów kryją jakieś nie wypowiedziane głośno prawdy o Janie. Są to albo własne najintymniejsze prawdy Jana, albo niemożność pełnego dojścia do wiedzy o nim samego twórcy. Jedno jest pewne, Jan i jego żona, wiejska nauczycielka Anna są ludźmi bogatszymi od Marka, bogatszymi w swym życiu wewnętrznym, w owej cienkiej warstwie odczuć i wrażliwości, które Marek w swym życiu zagubił.

Nie przekonuje mnie Zanussi do końca wówczas, gdy prezentuje racje Jana. Lecz w tej właśnie warstwie analizy postaw bohaterów, w której dochodzi do prezentacji pewnej sfery skutków owych wyborów dróg życiowych, docho-

dzi do spostrzeżeń i ocen bardzo sugestynych.

Kontrasty świata Marka i Jana wynikają nie tylko z odmiennego zakresu i rangi ich zawodowej działalności, są również rezultatem skrajnej różnicy rytmu ich życia i pracy. Bogata, żywa, w innym nurcie tkwiąca praca Marka, prowadząc do ścisłej specjalizacji, daje w jej ramach szansę działania efektywnego. Odbiera jednak bohaterowi szansę doskonalenia życia wewnętrznego, oddala od możliwości smakowania wartości innych dziedzin wiedzy, kultury i mą-

drości, na którą pracowali wieki. Jan w tej mądrości umie smakować, brać z niej wiele dla siebie, choć w ogólnospołecznym sensie jej przydatność przy jego pracy jest niewielka. Dzięki tej mądrości jednak praca ta właśnie przez Jana może być wykonywana.

Jest w obrazie tych dwu modeli życia wiele prawdy o współczesnych kierunkach rozwoju osobowości ludzkiej determinowanych przez warunki i rytm cywilizacji. Jakże znamienne jest tu choćby „czechowski” epizod, w którym kilka uwag rzuconych przez bohaterów na temat wielkiego Rosjajina odkrywa skalę odczuć ludzi reprezentujących nieomal dwa światy, dwie sfery oddziaływań kulturowych.

W autorskim filmie debiutującego w pełnym metrażu reżysera dostrzec można pewne potknięcia, zwłaszcza w odniesieniu do niejakej jednostajności układowej między bohaterami i pewnych dramaturgicznych słabości. Jednak właśnie w wyżej wspomnianym epizodzie i temu podobnych smakować można urok filmu Krzysztofa Zanussiego.

W strukturze „Kryształu” odnajdujemy również zupełnie niezwykły w polskim filmie sposób inscenizacji i prowadzenia aktorów, od których w ogromnym stopniu zależał sukces filmu.

Nie znamy w pełni tajemnic warsztatu reżyserskiego Krzysztofa Zanussiego, jednak wrażenia, które z filmu wynosimy każą wnioskować, iż z zasady improwizacji inscenizacyjnej i interpretacyjnej uczynił w tym filmie podstawową metodę twórczą. Dzięki temu jego aktorzy B. Wrzesińska, J. Mysławicz i A. Zarnecki poprzez prawdziwość przeżyć i aktywność własną stali się autentycznymi bohaterami dramatu. Odnosimy wrażenie, iż uczestniczymy w zdarzeniach, w których naprawdę jesteśmy tylko my, reżyser i trzech bohaterowie jego filmu. Kameralność tych zdarzeń, podkreśla funkcjonalna, znakomicie wpadająca w ton, a nade wszystko dyskretna praca operatorska Stefana Matyjaszkiewicza.

Ten film bez szminki jest przykładem prostoty formy i intelektualnego wyważenia przy pełnym zachowaniu postawy zaangażowanej i głęboko humanistycznej, poszukującej w człowieku jego wartości najlepszych. Nagroda im. Andrzeja Munka przyznana w tym roku „Strukturze kryształu” jest wyrazem uznania dla jednego z przedstawicieli „trzęcia kina” polskiego, w którego fakt istnienia tak bardzo chcielibyśmy wierzyć.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Walter Womacka: Fragment malowidła ściennego „Człowiek miara wszystkich rzeczy”.

NOWE DZIEŁO WALTERA WOMACKA

Walter Womacka urodził się w roku 1925 w Obergeringthal. Jest znanym malarzem i wybitnym pedagogiem. W roku 1965 objął stanowisko profesora w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych i Sztuki Stosowanej w Berlinie. W roku 1968 został rektorem tej uczelni.

Znany jest przede wszystkim jako malarz obrazów monumentalnych. W roku 1967 artysta wykonał szereg ściennych obrazów we wnętrzu budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych NRD w Berlinie. Temat tych obrazów: „Der Mensch, das Mass aller Dinge” (Człowiek miara wszystkich rzeczy). W formie symbolicznej Womacka przedstawia stosunek ludzi do świata, poznawanie, odkrywaniem przez ludzi i przekształcanie wspólnym wysiłkiem. W trakcie prac artysta interesował się faktami związanymi z rozwojem kosmosu nautyki i studiował portrety kosmonautów.

Stosunkowo niewielka wysokość sal stawiła przed artystą bardzo skomplikowane problemy techniczne i artystyczne. Mało widło ma od 14 do 16 m długości przy wysokości 3 do 5 m. Dzieło wykonane zostało farbami wodnymi na podkładzie alabastrogipsowym.

SZTUKA CZY TYLKO ZABAWA?

We francuskiej miejscowości wypoczynkowej Juan-les-Pins nauczyciel wychowania fizycznego, Claude Guerrini otworzył stoisko pod nazwą „Malarstwo książkowe” oznajmiając, że w jego warsztacie każdy może zostać artystą. Ustawił szereg cylindrów metalowych obracanych za pomocą pedału, szybelki lub wolniej, na zasadzie koła garncearskiego. Z wierzchu nakłada się papier i wylewa kolejno różne farby olejne. W efekcie powstaje obraz abstrakcyjny, w którym dopatrzyć się można wizerunku barwnego motyla, egzotycznej ryby, zachodu słońca itd.

„Malowanie” w stoisku Guerriniego kosztuje zaledwie 5 franków, a jak twierdzi właściciel na „dziełach” tak wykonanych można zarobić. Pewna dziewczynka z Lyonu otrzymała za swój obrazek 70 franków od turysty amerykańskiego, a pewien Belg odprzedawał go wieczór w kawiarniach całą masę swych obrazków po 15 franków. Czemu przedsiębiorstwo pana Guerrini nazywa się „Malarstwo książkowe”? Jakoś ładnie trzeba było nazwać — odpowiada Guerrini, — a książeczka teraz jest w modzie.

NOWY UTWÓR D. SZOSTAKOWICZA W „KRUGOZORZE”

W numerze 9 w części płytowej radzieckiego miesięcznika dźwiękowego pt. „Krugozor” znajdujemy m. in. płytę z nową sonatą Dmitrija Szostakowicza. Jest to pierwsze nagranie płytowe (opus 134, część druga). Sonata napisana została na skrzypce i fortepian, a jej wykonawcami są Dawid Ojstrach i Swiatosław Richter. Szostakowicz stworzył tę sonatę dla uczczenia sześćdziesięciolecia urodzin znakomitego skrzypka, Dawida Ojstracha.

W części tekstowej „Krugozora” znajdujemy słowo wstępne Dawida Ojstracha, jakie wygłosił do publiczności przed pierwszym wykonaniem ofiarowanej mu sonaty.

Powiedział on m. in., że jest od dawna wielbicielem twórczości Szostakowicza. Jeszcze w młodości zachwycał się dziełami wielkiego kompozytora, ale dziś pragnie podkreślić, że twórczość ostatnich lat — Druugi Koncert na wiolonczelę, Pieśni do słów Aleksandra Błoka, Dwanasty Kwartet i Druugi Koncert Skrzypcowy, którego był pierwszym wykonawcą — są to nowe i bardzo ważne osiągnięcia w twórczości Szostakowicza.

WIELKA NAGRODA LITERATURY DZIECIĘCZEJ

W paryżu jury składająca się z chłopców od lat 10 do 14 przyznała Wielką Nagrodę Literacką Salonu Dziecięcego. Laureatem został Francois Celier za książkę o delinach pt. „Les Chevaliers de l'Océan” (Rycerze oceanu).

NIEZNANY UTWÓR GARCII LÓRKI

Emilio Amero, aktor amerykański jest w posiadaniu nieznanego rękopisu Federica Garcii Lórki. Jest to scenariusz projektowanego przez Lorkę filmu pt. „Un viaje a la luna”. Scenariusz ten powstał w czasie pobytu poety w Nowym Jorku w roku 1929. Niestety Emilio Amero nie chce udostępnić nikomu scenariusza Lórki. Istnieje jednak wersja angielska w tłumaczeniu Berenice G. Ducan. Podobno tekst składa się z 78 numerowanych sekwencji, a sam scenariusz ma charakter eksperymentalny.

MARCEL MARCEAU W TEATRZE MUZYCZNYM

Marcel Marceau, słynny aktor pantomimy otworzył, po blisko dwuletniej przygotowaniu, szkołę pantomimy w Paryżu. Równocześnie odbywa swe występy w paryskim Theatre de la Musique. Zarówno praca codzienna jak i tygodnik nie szczędzą słów na jego czołowi i wyjątkowo wysokiego uznania dla tego najświetniejszego dziś aktora mimicznego, który do perfekcji doprowadził grę gestów.

ZMARŁ LEONARD WOOLF

W wieku lat 84 zmarł krytyk literacki, mąż angielskiej pisarki Wirginii Woolf, która popchnięta samobójstwem w 1941 r.

Leonard Woolf wraz z żoną był założycielem wydawnictwa „Hovarth Press” gdzie publikowano wielką ilość wybitnych dzieł literatury angielskiej i wokół którego gromadził się pisarze tej rangi: co James Joyce czy Katarzyna Mansfield.

Leonard Woolf pozostał po sobie szereg dzieł krytycznych, prac historycznych oraz pięcioletnią autobiografię, której znaczenie polega m. in. na tym, że zawiera wiele materiałów dotyczących literatury nowoczesnej.

DRANEM

Telewizja Francuska przypomina niedawno postać popularnego piosenkarza i komika z czasów tzw. „Pięknej Epoki”, artysty występującego pod pseudonimem „Dranem”. Jego nazwisko brzmiało Charles-Armand Menard, Urodził się sto lat temu w Paryżu w rodzinie jubilerskiej. Wcześniej przejawiał talent piosenkarcki. Początkowo śpiewał tylko w gronie przyjaciół, ale szybko debiutował w słynnym music-hallach przy Champs-Elysees. Stał się szybko jednym z najpopular-

niejszych paryskich piosenkarzy i komików.

W audycji podkreślono również, że Dranem ufundował dom rencisty dla artystów estrady. Uroczyste otwarcie domu odbyło się w roku 1911.

„WYSPA SKARBÓW” FILMOWANA PO RAZ SIÓDMY

Po raz siódmy słynna powieść Roberta Louisa Stevenson (1850-1994) przeniesiona będzie na ekran. Tym razem ma to być musical kręcony na Antylach.



Shirley Temple

„MODLĘ SIĘ O POKÓJ W WİETNAMIE”

Liczyła trzy lata, gdy pierwszy raz występowała w filmie. Mając lat dwa i pół i będąc miliarderką wyczołgała się z filmu. Dziś, już czterdziestoletnia Shirley Temple, ongiś cudowne dziecko i gwiazda międzynarodowej stawy lat 30-tych, ukazała się na arenie politycznej. W okresie ostatnich wyborów prezydenckich w USA była

niezwykle czynną działaczką z ramienia Partii Republikańskiej. Podobno zdobyła dla Nixona wiele głosów swych dawnych wielbicieli.

Prezydent Nixon zrewanżował się Shirley obdarzając ją urzędem dyplomatycznym. Jest ona jednym z pięciu reprezentantów Stanów Zjednoczonych w ONZ. „Modlę się o pokój w Wietnamie” — oświadczyła dziennikarcom.

od niedzieli do niedzieli

SEJM ŁÓDZKIEJ KULTURY

KONSPIRACYJNE LISTY — RZECZYWISZCIE MAKABRA — BĘDZIE GALERIA — KTO BURZY FABRYKĘ? — POWSTAJE FUNDUSZ KULTURY — NOWE ULICE

Tak więc sesje Rady Narodowej m. Łodzi poświęconej kulturze mamy już za sobą. Prasa codzienna odnotowała wydarzenia z przewidzianym na taką okazję protokołem („wczoraj odbyła się... udział wzięli między innymi...”) Coż więc pozostaje felietonistce?

Pozostaje zapis paru ułotnych wrażeń, paru faktów i liczb. Oto na wstępie taka (autentyczna!) historyjka. Dyrektor Średniej Szkoły Muzycznej grzmi z trybuny, że młodzież nie ma gdzie ćwiczyć, że w domu sąsiedzi się buntują na głosne „odrabianie” lekcji a szkoła — wstyd powiedzieć — nie może zapewnić uczniom żadnej sali do ćwiczeń, bo po prostu oplakane warunki lokalowe na to nie pozwalają.

W tym momencie jeden z dziennikarzy posyła kartkę do wysokiego (dosłownie i w przenośni) pracownika Wydziału Kultury: „Czy szkoła muzyczna nie

może korzystać z prawie nie wykorzystanej Sali Kameralnej Filharmonii, z niektórych sal klubów i świetlic pustych całymi dniami?”

Pracownik Wydziału Kultury odpowiada: „Może. Ale do niedawna w gmachu szkoły przy ul. Polańskiej mieściły się trzy szkoły. W tej chwili dwie nie mogą się zmieścić. To trochę tak jak w tym przysłowiu o apetycie wzrastającym w miarę jedzenia. Poza tym w przyszłym roku będzie problem ze szkołą przy Placu Zwycięstwa. Gmach musi pójść do generalnego remontu (minimum trzy lata) — gdzie umieścić młodzież i prowadzić ćwiczenia? Makabra!”

Rzeczywiście makabra. I w końcu sam Wydział Kultury nie jest w stanie wyczerpać wszystkiego — czasem rzecz po prostu w zwykłym „dogadaniu się” zainteresowanych. Ze szkołami artystycznymi w ogóle

sprawa nie jest łatwa. Otoż nie mieszczą się one w normalnym programie rozwoju szkolnictwa. Nie mogą na przykład być finansowane w dziedzinie inwestycji z kwot SEBŚSL. Dlaczego? Nie wiadomo — ale fakt jest faktem. Myślę, że przykład owej „konspiracyjnej” wyrażony zdaniem obrad nad sprawami kultury w Łodzi, świadczy jakoś o klimacie sesji, o tym, że działaczom, dyrektorom, naczelnikom i urzędnikom naprawdę zależy na prawidłowym funkcjonowaniu iu łódzkiej „nadbudowy”. Wszyscy się kłopotują, marzną — jeśli jest źle. Wszyscy się cieszą — jeśli jest dobrze.

A jest różnie. Obok bezspornych osiągnięć dzięki którym miasto z „kulturalnego Kocpiuszka” stało się prężnym ośrodkiem nauki i sztuki — są i fuzerki i po prostu niemożności. Osobliwie jednak bardzo się cieszę, że dramatyczny głos łódzkiego plastyka sprawił, że do przygotowanego wcześniej projektu uchwały do pisano punkt mówiący o włączeniu do planu na lata 1970-75 budowy nowej galerii sztuki. Oby z pozytywnym skutkiem!

W uchwałę znalazły się też odpowiednio zaakcentowane słowa na temat łódzkich zabytków architektury. Bo i tu była różnica. W bieżącym roku — alarmowano z trybuny — zebrano domek tkacki z roku 1800 — zbytek charakterystyczny dla przeszłości

Łodzi, starszy od Ratusza, zarejestrowany w katalogu zabytków. Obecnie rozbiega się dawna fabryka cevek z roku 1860 — jedną z najstarszych, starszą od pałacu Schellera przy Wodnym Rynku... Podobno na miejscu fabryki ma powstać... pasaż do kina „Przedwiośnie”. „Żeby choć zostawili ów charakterystyczny czworokątny komin — takich najstarszych kominów jest w Łodzi może cztery, może pięć” — białal w kulturach społeczny opiekun zabytków.

To wszystko prawda i żal ginących śladów tamtej, nie istniejącej już Łodzi. Tylko, że... Bardzo trafnie mówił o tych sprawach wiceminister Kultury i Sztuki Zygmunt Garstecki: „Zabytki Łodzi są cenne i wartościowe, ale potrzebny jest rozsądny kompromis między potrzebami rozwijającego się miasta a szacunkiem dla zabytków”. O toż to właśnie.

Jeśli już wspominał wystąpienie wiceministra to chyba wszystkich ucieszyłyby zapowiedzi na temat nowych przepisów umożliwiających finansowanie działalności kulturalnej placówek Rad Narodowych z różnych źródeł. Powstaje też projekt Funduszu Kultury (powiatu bądź dzielnicy), z którego będzie można dotować działalność kulturalną.

Leży przede mną niewielka broszurka w białej, kredowej okładce. „Dotychczasowe osiągnięcia i

dalsze kierunki polityki kulturalnej Łodzi” — taki nosi tytuł. Jest tu wiele o tym co zbudowano — a fakty i dane są imponujące. Są tu sumy w milionach i miliardach — złotówek, widzów czytelników... I dobrze, że zostanie ślad tych dokonań także na papierze w estetycznie wydanej informacji.

Ale — jak powiedziano w dyskusji — dzieje łódzkiej kultury w ciągu minionych 35 lat to nie dzieje inwestorów, ale dzieje ogromnej rzeszy działaczy kultury i twórców. Estetycznie wydana książeczka honorowała kubatury, miliardy i wskaźniki — trochę zapomniano w niej o tej wieletysięcznej rzeszy ludzi. A to przecież oni wnieśli najpoważniejszy wkład w dzieło stworzenia ośrodka nauki i sztuki w mieście, które w 1945 roku startowało od zera. To przecież ci ludzie oddali w służbę kultury tego miasta swoje talenty, pasję i zaangażowanie.

Na zakończenie moja prywatna satysfakcja. Pół roku temu wołałem wielkim głosem, że nie ma w Łodzi ulic noszących nazwiska zastużonych dla miasta ludzi sztuki. „Kulturalna sesja” zatwierdziła nowe ulice — Władysława Strzemińskiego, Witolda Wandurskiego i Ryszarda Standa. Tylko o Bartkiewicza i Głiszczyńskiego, którzy byli u kolebki łódzkiej literatury doprosić się wciąż nie mogę.

JERZY WIDOK

Bez strachu

DOM

Opuściłem mój dom, stał się wiekiem mieszkanie, kamienicę w centrum mojego miasta jeszcze wielką, wysoką, dla rysujących się już konturów miasta przyszłości małą, niską. Wiele już miałem domów i mieszkań, niektóre zostały spalone, zmienione w chmurę dymu, inne starto w proch i pył uderzeniem bomby. Są przecież i takie moje dawne mieszkania, w których mieszkają ludzie. Przemalowali ściany, urządzili wnętrza bardziej praktycznie niż ja bym to postrafił. Siedzą sobie wieczorem, po pracy, bo jest jesień, bo pada deszcz. Jedzą jabłka, bo o tej porze roku jabłka są najpiękniejsze i najsmaczniejsze. Piją herbatę — bo o tej porze roku dobrze przed spaniem napić się do gorąca. Nie wiedzą, albo nie pamiętają o tych, którzy mieszkali tu przed nimi.

Niektóre z tych mieszkań są tak małe, że trudno w nich przesuwać się o krok, zwłaszcza wtedy, kiedy są goście, inne są tak wielkie, że jeździłem niedługo po ich podłogach trzykółkowym, dziecięcym rowerem. Tam nie pamiętają już dawnych mieszkańców. Być może gdyby dobrze pogrzebać w pamięci, gdyby zapytać starszaka sąsiada można by otworzyć czy usłyszeć o powieści o tych, którzy bardzo się kochali i mieli dużo dzieci i byli szczęśliwi i szczęśliwie umarli... Być może mieszkali tam tacy, którzy stale się sprzecali, podnieśli głosem i żyli w bieżeniu, nie mieli dzieci i byli brzydki i nieuczuciwi, a jednak może to oni bardzo się kochali. Mieszkał tam ktoś, kto się zatrął gazem, niedawno właśnie zainstalowanym, ale może i on był szczęśliwy, tak szczęśliwy, że chciał z przysięgą skończyć nowego rodzaju śmierci, dostępną jeszcze dla niewielu. Wiele razy już przemalowano ściany, tyśście razy otwierano i zamknięto okna, zmieniono raz i drugi sprzęt. Gdzie jest oddech dawnych mieszkańców, parowanie ich ciała, promienie ich uczuć i myśli. Te mieszkania były wielokrotnie upychane, zmentalizowane, upodobnione do właścicieli — odwarżali strukturę ich osobowości, linie ich losu wyraźniej niż kreski na otwartej dłoni. Czy wszystko to po nich zostało w murach, pod farbą, w tajemniczych, dolnych warstwach podłogi w niedocleczonym suficie? A tam gdzie nie ma już mieszkań, tam gdzie domy wybudowano gdzie indziej — tam w szcianach błękitnego powietrza, które przekreślał kiedyś mój trzykółkowy rower, w szcianach wielokrotnie przewalanych deszczem, przepływających wstrząsów, prześwietlonych słońcem w szcianach fizykalnego lub mistycznego nieba — czy tam coś pozostało? Czy tam jest ktoś, kto mógłby usłyszeć, kto mógłby sobie przypomnieć. A jeżeli tak, jeżeli wszędzie gdzie byłem pozostawiam cząsteczkę siebie, w taki, czy inny sposób dostępną dla innych, czy zdołam opuścić swój dom, czy jest to w ogóle zależne od mojej woli?

BERNARD SZTAJNERT

Podjejrliwość

Alojzy Tavish, elegancko ubrany, siedział w kawiarni hotelu „Imperial” w Nicy. Przed godziną stwierdził, że w tym samym hotelu zatrzymał się jego odwieczny wróg, Teodor Klaat, międzynarodowy złodziej klejnotów.

Klaat nie przybył tu dla podreperowania zdrowia — myślał Alojzy. Na pewno ma jakiś ukryty plan.

Kelner, otrzymawszy napiwek w postaci dwustu franków, poinformował Alojzego, że pan doktor Klaat zajął apartament 62 na drugim piętrze. Ze rozmawia z jakąś młodą panią, która oczekiwała go z wielką niecierpliwością.

W kilka minut później postanie hotelowy przyniosło Alojzemu zamkniętą kopertę. List był od Klaata:

„Drogi Tavish, nie przybyłem tu dla moich spraw. Chcę trochę odpocząć. Zaproponowano mi dobry interes, z którego może pan wyciągnąć ładną sumkę, ja odmówiłem.

Proszę mi wierzyć, że na jakiś czas zakopuję topór wojenny do ziemi.

Zainteresowana pani znajduje się w pokoju 31 na pierwszym piętrze. Proszę zgłosić się do niej. Pański Teodor Klaat”.

Alojzy uśmiechnął się szyderczo. — To jego technika! — Czuł, że Klaat przygotowuje coś, w czym przeznaczył mu rolę nieświadomego pomocnika — aby później, w odpowiednim momencie, mógł ulotnić się z tupem.

Wstał, zapalił następnego papierosa i podszedł do windy. Na pierwszym piętrze odnalazł pokój 31 i wszedł, gdy go zaproszono.

Kobieta siedziała w fotelu przed oknem, popijając cocktaile. Była średniego wzrostu, ujmującej powierzchowności.

Fascynująca — pomyślał Alojzy. Oto typ kobiety, jakiej używał Klaat na wabika.

Uśmiechnął się do niej. Zrewanżowała mu się, trochę zmieszana.

— Panie Tavish, — mówiła z lekkim akcentem amerykańskim — sądzę, że pan był zaskoczony, słysząc od doktora Klaata, iż pragnę z panem rozmawiać. Mam nadzieję, że się pan zbytnio nie zdziwi, gdy mu przedstawię moją prośbę.

— Nie będę się niczemu dziwił, madame. — Alojzy skłonił się uprzejmie. — Wprost prze-

ciwnie. Może więc przystąpimy do omówienia sprawy?

— Proszę usiąść i poczęstować się drinkiem. Nie stracił pan wiele czasu. Opowiem moją historię, a pan potem zdecyduję, czy chciałby pan zarobić te 15 tysięcy franków, które mam w torbie.

Alojzy zamyślił się. Rozwijająca się podwójna gra: przyjazd Klaata, list, piękna kobieta, atmosfera interesów, 15 tysięcy do dyspozycji.

— Chciałbym mieć tę sumę — powiedział.

— Bardzo dobrze — zgodziła się piękna pani. — Znajduję się w rozpaczywej sytuacji. Jestem księżną Cheruinow, dawniej nazywałam się Krystyna Hardway, pochodzę z Oklahoma. W ubiegłym roku poślubiłam księcia Sergiusza Cheruinowa. Jednak za sześć miesięcy wrócę do mego pierwszego nazwiska, gdyż rozwiodę się z tym przeklętym rosyjskim emigrantom. Czy pan zrozumiał?

— Doskonale, księżno — stwierdził Alojzy — proszę mówić dalej.

— Okey — odparła księżna i sięgnęła po następny cocktail.

— Proszę wyjrzeć przez okno. W zatoce stoi mój jacht „Cigarette”. Byłam tam jak najgorzej traktowana. Cheruinow jest stale pijany. Wczoraj przez cały dzień ta dzika maipa polowała na mnie, biegnąc po statku z bronią w ręku. Był tak nieprzytomny, że nawet nie zdawał sobie sprawy, że to ja byłam ofiarą polowania. Jestem bardzo zmęczona.

Alojzy przytaknął ze zrozumieniem. — Musiałoby to być okropne!

— Księżno Cheruinow wiedział, że chcę od niego odejść. Dziś udało mi się zorganizować ucieczkę. Pomogli mi rybacy, którzy przejeżdżali obok jachtu. Zabrałi mnie do swej łodzi i przywieźli na ląd. Następnie udałam się do naczelnika policji.

Alojzy nastawił uszu. — Dobrze, bardzo dobrze. Chce pani mieć opiekę?

— Jaką opiekę! — roześmiała się księżna. — Już mnie nic nie obchodzi Sergiusz, gdy jestem tutaj. Ale muszę odzyskać moją kolia diamentową.

Tavish zaciągnął się dymem papierosa. A więc tak, nareszcie zbliżamy się do celu!

— Trzeba zabrać ze statku moją kolia — ciągnęła dalej księżna z uniesieniem. — Jest to ślubny prezent od mego ojca. Gdy Cheruinow zauważy, że uciekłam, co nastąpi zapewne jutro rano, będzie zadowolony. Tym bardziej, jeżeli stwierdzi, że kolia znajduje się jeszcze w kasie panczernej statku. Podnieście natychmiast kotwicę i odjedźcie. Sprzeda diamenty i osiągnie z tego sumę wystarczającą na wódkę dla czterech pokoleń. Cheruinow wie dobrze, że bardzo mi zależy na nieujawnianiu moich spraw osobistych w sądach i w prasie — i że dlatego nic nie będę mogła zrobić, aby odzyskać klejnoty.

— Musi pan dostać się na pokład statku jeszcze tej nocy i zabrać kolia. Jako nagrodę przeznaczam 15 tysięcy franków.

— Czy to naczelnik policji podsunął pani taką myśl? — zainteresował się Alojzy.

— Tak jest — potwierdziła księżna. — Opowiedziałam mu całą historię. Znam go bardzo dobrze. Pan Birache wyjaśnił mi, że oficjalnie nic nie może zrobić w tej sprawie. Doradził więc, abym wysłała kogoś na statek w tym czasie, gdy Sergiusz będzie pijany. Wskazał mi nawet człowieka, który mógłby tego dokonać. Jest nim Teodor Klaat, który przyjechał dziś po południu do hotelu Imperial.

— Czy Klaat nie przyjął propozycji? — zapytał Tavish.

— Absolutnie nie zgadza się! W ogóle sądzę, że Klaat nie nadaje się do tej akcji. Skierowałam go do pana, jako do osoby, która lubi tego typu robotę.

Uśmiechnęła się do mężczyzny i podała mu nową porcję cocktailu.

Alojzy zapalił papierosa. Nastąpiło milczenie. Obserwował siedzącą w fotelu kobietę. Miała gustowną, kremową suknię. Kapelusze, rękawiczki, torebka i buty idealnie były stonowane. Poprzez cienkie pończochy widział delikatną, białą skórę. A jednak był przekonany, że kobieta nie była księżną Cheruinow! Kim więc była? — myślał intensywnie. Kim postąpił się Klaat dla wykonania swego planu? Nagle błysnęła myśl: to była dama do towarzysztwa księżny Cheruinow!

Uśmiechnął się zadowolony. Jeszcze raz Klaat odgrzebał swą starą technikę! Lubili posługiwać się ludźmi spośród służby. Informowali go o wszystkim — o wartości klejnotów, ich przechowywaniu, o niebezpieczeństwie, o sposobach uderzenia. Te wiadomości stanowiły podstawę dla jego wypadów.



Tym razem jednak wypad przedstawiał się dość niebezpiecznie. Klaat nie chciał ryzykować, aby go przyłapano na statku. Spostrzęszy Alojzego w hotelu ułożył tę historię, którą opowiadała „księżna”.

Jeżeli Tavishowi uda się wyprowadzić na statek, Klaat chętnie wypłaci 15 tysięcy franków. Ale jeżeli go złapią...

— Co mam zrobić z kolia, gdy ją zdobędę? — zapytał Alojzy.
— Czy przywieźć ją pani tutaj?
— Nie — odpowiedziała księżna. — Za pół godziny wyjeżdżam do Monako, w odwiedziny do moich przyjaciół. Kolia należy złożyć w depozycie ka-

sy panczernej hotelu Imperial. Mój bank dostarczy panu jutro 15 tysięcy franków. Teraz otrzyma pan 2 tysiące zaliczki. W odpowiednim czasie odbiorę moje klejnoty.

Alojzy przytaknął.
— Księżno, czy nagroda 15 tysięcy franków nie jest zbyt niska? Przypuścimy, że Cheruinow przytapi mnie na pokładzie i wsadzi mi kulę w plecy... Chyba powinna mi pani zapłacić trochę więcej, czy nie mam racji?

— Zgadzą się, potwierdziła księżna. — Dam panu 2 tysiące franków teraz, a 16 tysięcy jutro. Tylko bez kawałów, Tavishi! Proszę pamiętać, że ko-

mandant policji jest moim przyjacielem!

Alojzy przybrał minę obrażonego.

— Księżno, jak można mieć takie podejrzenia? — Zapalił nie wiadomo już którego papierosa. — Kiedy mam przystąpić do roboty?

— Jak można najprędzej. Za godzinę Sergiusz będzie tak pijany, że przestanie rozróżniać, czy jest dzień, czy noc. Cała załoga będzie na ładzie. Jeżeli nie narobi pan hałasu, nie przewiduję żadnych komplikacji.

(DALSZY CIĄG NASTĄPI)



Lewym okiem

GOWOREK Z KURZESZYNA

Dawniej, gdy ktoś umarł, mówiło się, że przeszedł się do wieczności. Mówiło się też, że z wieczności się nie wraca. Okazuje się jednak, że można wrócić z Wieczności, można tam wstąpić na chwilę, umówić się na randkę. Jest to bowiem po prostu jedna z ulic miasta Łodzi. Ulica Wieczność.

O ileż przyjemniej mieszkać przy ulicy Skromnej, Zaczętej, Przyjemnej (są takie w Łodzi), niż przy Cmentarnej, przy Wieczności lub w dzielnicy Kały (też są takie)! Żadnych natomiast emocjonalnych skojarzeń nie budzą nazwy ulic, utworzone od imion sławnych mężów. Ta forma upamiętniania czyichś zastug, wrażania w pamięć potomnych nazwiska bohatera, uczonego, artysty, stosowana jest na całym świecie od dziesiątków lat chętnie i szeroko, co ma swoje mocne i słuszne uzasadnienie: nazwa ulicy rzuca się w oczy tysiącom ludzi staje się szybko popularna, powta rza się w korespondencji, w stemplach, w prasie i literaturze. No i jest to forma najtańsza, o ileż tańsza niż stawianie pomników...

Nowy plan miasta Łodzi obejmuje tysiąc sześćset osiemdziesiąt ulic, w tym około 280 nazwanych imionami zasłużonych postaci. Niemalże kłopot sprawia zresztą w wielu przypadkach odpowiedź na pytanie, czym mianowicie zasłużonych.

Kto z Was na wyrwyki odpowie, kim był Stanisław Dzialek, Antoni Książek, Franciszek Prozek, Regier (bez imienia) i Maria Wedmanowa?

W roku ubiegłym Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała pod tym tytułem „Od Agrykoli do Żywnego” opracowany zespołowo mały słownik patronów ulic warszawskich. Podaje on krótkie biografie i zarys działalności około sześćset osób, których nazwiska upamiętniono w nazwach warszawskich ulic. Przy trzech tysiącach sześćset ulic stołecznych — co szósta nosi więc imię sławnej postaci. Bez małego słownika nikt chyba nie wymieniłby zastug, dla których umieszczono „odnośne” nazwisko na blaszanej tabliczce i na planie stolicy. A są w tej mierze niewątpliwie ciekawostki.

Bo na przykład Eryk Jonson Dahlbergh był generałem szwedzkim i wraz z Karolem Gustawem brał udział w wyprawie na Polskę. Był jednym z głównych sprawców „potopu”, po którym przez setki lat nie mogły się dźwignąć niektóre nasze miasta. Był też rysownikiem — narysował na użytek najeźdźcy plan Warszawy, jeden z najstarszych (w połowie XVII wieku) — i ten plan sprawił, że mamy w stolicy ulicę Dahlbergha i że mały słownik poświęcił mu prawie tyleż miejsca, co Chopinowi! Tak to historia tasuje wartości i oceny: spalił piętnaście miast, a szesnaste narysował. I tylko to szesnaste mu się pamięta!

Marcina Flisa zanotowały kroniki, jako przywódcę „tumultu pospółstwa” przeciwko Radzie Miejskiej w 1519 roku. Nie wiem, czy z klasowego punktu widzenia był to bunt biedoty miejskiej, skoro tenże Flis był właścicielem wielu kamienic w centrum ówczesnej Warszawy, a więc bogaczem. Być może — chodziło o władzę, o podatki, o przywileje. Ale było to tak dawno, dawność fascynuje, Flis doczekał się ulicy...

Ma swoją ulicę w Warszawie nadworny błazen królewski, Stańczyk, i atleta walcząca „nieszonem” — Pytlasiński, i najstarszy znany właściciel

ulicy Solec — Goworek z Kurzeszyzna. Na sześćset nazwisk, aż sto dwadzieścia, czyli co piąte, należy do pisarzy. W Łodzi jeszcze stosunkowo więcej, bo osiemdziesiąt na dwieście osiemdziesiąt, czyli trzydziści procent. Łódź honoruje też w znacznie większym stopniu działaczy politycznych i społecznych (96 nazwisk, czyli 35 proc., a w Warszawie — 138, czyli 24 proc.). Natomiast mamy tylko 11 malarzy i architektów (w Warszawie — 41), 3 ludzi teatru (w Warszawie 14) i ani jednego świętego (w Warszawie dziesięć!).

Szkoda, że w naszym słowniku nie podano roku, w którym dana ulica otrzymała swojego patrona. Miałoby to swoją wymowę historyczną; w różnych okresach naszych dziejów nawiązujemy przecież do różnych tradycji, preferujemy świadomie tę czy tamą, te czy tamte postaci i fakty historyczne.

Szkoda, że Łódź nie ma podobnego słownika. Warszawa i Poznań miały takie opracowania już przed czterdziestu laty, pióra Zygmunta Swiatopełki Słupskiego. Zabuwa one były, pełne osobistych uprzedzeń i zacieklej, apodyktycznych komentarzy autora. O Fukierach tam było siedem stron, o Mickiewiczu — pół strony. O Kazimierzu Wielkim — że „lubił kobiety” i że „siał zgorzniecie”. O Staszicu — że „przez szczęśliwe obroty pieniężne na gieldzie wiedeńskiej zrobił znaczny majątek”. O Chopinie — że na jego cześć tenże pan Słupski wydał medal w pięćdziesięciolecie śmierci...

Myślę, że nie byłoby źle wydać po prostu jako załącznik do planu miasta Łodzi skromną broszurkę, zawierającą informacje o patronach łódzkich ulic. A może od razu i komentarz co do niektórych innych, pełnych tradycji nazw? Czekamy na inicjatywę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Pałuch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Miesięcznik 6 zł, kwartalnik 18 zł. Redakcja nie zamawiających rekopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz warunki prenumeraty: PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 2229. B-12.